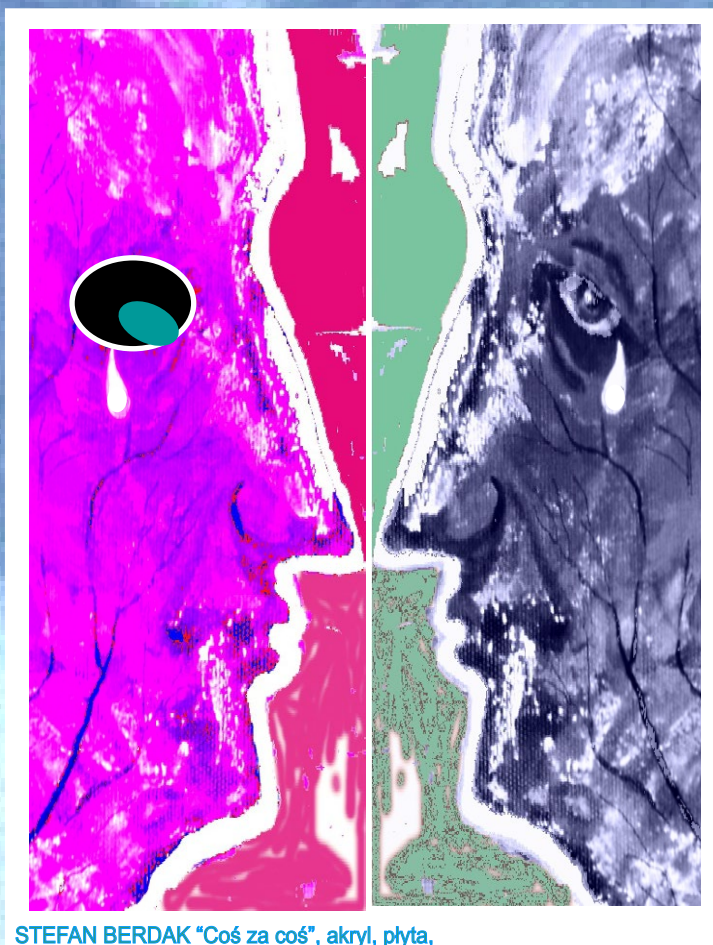


ISSN 1507 - 4781* ROK XX* ZIMA (I, II, III) 2017* nr 71

FORUM 71

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK "Coś za coś", akryl, płyta,

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński, *Boy*, *Biedne prababki*.
- Magdalena Wulczyńska, *Polski Wolter*. *Boy według Ludwika Szczepańskiego*.
- Józef Kabaj, *Etyka Abelarda*.
- Piotr Szydłowski, *Etyka cnót Tomasza z Akwinu*.
- Jerzy Franczak, „*Pałuba*” – zapomniane arcydzieło.
- Andrzej Pierzchała, *Tajemnica stworzenia*.

1 **SŁOWO OD REDAKTORA**

Stanisław Franczak

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Tadeusz Żeleński Boy,
- Biedne prababki. Wybór i wprowadzenie Piotra Augustynka.*

CYKL: ETYKA DLA MŁODZIEŻY

- 5 Józef Kabaj,
- Etyka Abelarda.*
-
- 10 Piotr Szydłowski,
- Etyka cnót Tomasza z Akwinu.*

PUBLICYSTYKA

- 20 Magdalena Wulczyńska,
- Polski Wolter. Boy według Ludwika Szczepańskiego.*
-
- 31 Andrzej Pierzchała,
- Tajemnica stworzenia.*
-
- 37 Jan Socha,
- Sprzątanie umysłu.*

MYŚLĄC BELFREM

- 41 Piotr Augustynek,
- Fabryka śrubek.*

RECENZJE

- 43 Ignacy S. Fiut,
- Zwroty artystyczne i biografie poetów.*
-
- 49 Jerzy Franczak, „
- Pałuba*
- ” – zapomniane arcydzieło.
-
- 52 Maciej Naglicki,
- Od animalistycznego pojmowania świata po jego filozoficzny ogląd.*
-
- 53 Maciej Naglicki,
- Kobiety – praw i prawd burzycielki.*

KRONIKA

- 54
- Sukcesy października 56'*
- (Jan Nowak).
-
- 55
- Spotkanie w Kuźnicy*
- notka z prelekcji “Polski Wolter” (red.).
-
- 56 Doroczna sesja naukowa w Kuźnicy (sprawozdanie red.).
-
- 58
- Z PRASY**
- oprac. M. Jakubiec.
-
- 59
- Z PORTALI INTERNETOWYCH**
- oprac. J. Kabaj i S. Franczak.

Z WITRYNY KSIĘGARSKIEJ

- 64 O J. M. Roślickim – oprac. S. Franczak.
-
- 64
- LISTY DO REDAKCJI**
- Józef M. Roślicki.

doc. dr Andrzej Kurz
– przewodniczący,
prof. dr hab. Czesław Banach
– wiceprzewodniczący,
dr Józef Kabaj
– wiceprzewodniczący,
mgr Jan Nowak
– wiceprzewodniczący,
mgr Stanisław Franczak
– sekretarz.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,
dr hab. Zbigniew Krawczyk,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,
prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 456 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona
Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum,
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
tel.: 12 633 35 53
www.novum.krakow.pl

Redaktor naczelny: Stanisław Franczak.**Zespół redakcyjny:** Ignacy S. Fiut, Antoni Pietryka (zastępcy red. nacz.), Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Maciej Naglicki, Artur Koziół (red. techniczny).**Fotoreporter:** Antoni Pietryka.**Opracowanie graficzne:** Stefan Berdak, Roman Lasa.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

SŁOWO OD REDAKTORA



Miniony rok zapisał się obchodami 75 rocznicy śmierci naszego patrona Tadeusza Boya – Żeleńskiego.

Najbardziej żywe i jakże obecne we współczesnym życiu społecznym okazały się idee zawarte w takich oto jego dziełach jak „Pieśń kobiet”, czy w „Naszych okupantach”. Podjęły je polskie kobiety, które zbudziły się oburzone polityką PiS, propagującego antyaborcję i ograniczenie praw społecznych oraz swobód prawno-obywatelskich. Obnażyły w swym aktywnym i żywym proteście fałsz, obłudę i próby kościelno-politycznej kontroli życia rodziny, ograniczenia wolności sumienia poprzez narzucenie ustaw obywatelskich, a także żądają zwykłego prawa do decydowania o swym macierzyństwie.

Szły pod czarnymi parasolkami z hasłami Boya, które nagle ożyły i stały się niezwykle naturalne, żądając nie przywilejów dla siebie, ale podstawowych praw cywilizacyjnych i pełnego upodmiotowienia. Obok KOD-u to druga siła opozycyjna, która sprzeciwia się polityce partii rządzącej i Kościołowi.

Wiadomość telegraficzna: oto Senat uchwalił, że rok 2017 będzie Rokiem Tadeusza Kościuszki, ale za nic nie chce Bolesława Leśmiana jako Patrona Roku, co jest sukcesem PiS-u.

W polityce międzynarodowej najważniejsze okazały się wybory prezydenckie w USA, zakończone nieoczekiwanym sukcesem D. Trumpa, amerykańskiego miliardera.

Groźba wybuchu światowego konfliktu tli się wciąż w Syrii, gdzie walczący popierani są przez przeciwne potęgi polityczne: Rosję i USA. Terroryzm ma się dobrze i islamiści nie ustępują w walce z „niewiernymi”.

Jednym słowem - żyjemy na gorącym wulkanie pełni nadziei, że wszystkie burze i nawałnice nas ominą, a zbliżający się wielkimi krokami rok 2017 będzie lepszy od starego, czego z całego serca, wbrew znakom czasu wszystkim serdecznie życzę.

A w numerze bieżącym proponujemy m.in. dalszy ciąg cyklu etyki dla młodzieży, tym razem prof. Piotr Szydłowski pisze o etyce Tomasza z Akwinu, dr Józef Kabaj o etyce Abelarda; Andrzej Pierzchała o tajemnicy stworzenia, a debiutująca u nas Magdalena Wulczyńska o „polskim Wolterze”, czyli Tadeuszu Żeleńskim Boyu. Ponadto znajdziecie u nas, Drodzy Czytelnicy, myśli pedagogiczne, refleksje filozoficzne, recenzje, wiersze, interesujące fragmenty z portali internetowych oraz bieżące komentarze na temat ciekawych wydarzeń.

Zapraszamy do lektury.

P. S.

*Spełnienia planów i marzeń
oraz niezłomności ducha
w nadchodzącym Roku 2017*

szczęście

Redakcja



GRA POZORÓW czyli nihil novi sub sole...

Co jakiś czas słyszymy głosy przezacnych hierarchów Kościoła na temat małżeństwa. Można się zachnąć, że skąd niby księża mogą wiedzieć, czym jest małżeństwo, rodzicielstwo, jakie kłopoty i pułapki czyhają na kobietę i mężczyznę w formalnym i sakramentalnym związku. Hierarchowie wiedzą zawsze lepiej i nauczają.

Wiem, że to nieładnie kpić z osób duchownych, ale to trochę tak wygląda, jakby lekcję śpiewu prowadził głuchoniemy, a malarstwa nauczał niewidomy.

Zagadnienie nie jest nowe. O tym niech świadczy tekst Boya pt. „Biedne prababki” z roku 1929, publikowany w „Kurierze Porannym”. We wstępie do zbioru felietonów Boy napisał (pisownia oryginalna): „Popatrzmy na historię instytucji i wierzeń ludzkich. Trzebaby chyba być ślepym lub kłamcą, aby nie uznać, że porządek społeczny, że *moralność* to coś, co zmienia się i musi zmieniać ciągle; coś, co przechodzi ciągłą ewolucją. Dzisiejszy bunt jest jutrzejszym prawem; dzisiejsze bluźnierstwo jutrzejszym komunalem. W imię porządku społecznego palono na stosie ludzi, których dziś wysyła się jako medja na kongresy metapsychiczne...”

Tyle cytat, wart zapamiętania. Ale czy dostojnicy w duchownych szatach choćby po kryjomu nie mogliby ze zrozumieniem poczytać Boya? Nic im się nie stanie. Boy już przecież nie żyje.

Piotr Augustynek

Biedne prababki

Przepraszam, że będę mówił o rzeczach bardzo banalnych; ale niedole życia wynikają głównie z rzeczy banalnych źle załatwionych; z rzeczy o których się nie mówi. Będę więc mówił naiwnie, tak jakbym odkrywał Amerykę. Mam zresztą pewien barometr żywotności dla kwestji, które zdarzy mi się potrącić; mianowicie listy nieznanym czytelników. (...)

W jednym z listów, jakie dostałem, uderzył mnie pewien rys – też zapewne banalny, ale który mnie zainteresował. Chodzi o normalny prawie tok kościelnego unieważniania małżeństw zapomocą

falszywych świadectw i krzywoprzysięstwa. „Co do tych krzywoprzysięstw (pisze mi ktoś z kresów), to mówił mi jeden adwokat, iż nawet jest tak utarte, że świadek krzywoprzysięga, a później tenże ksiądz spowiada go i rozgrzesza, nakazując przytem odpowiednie zadośćuczynienie, t. j. pokutę...”

Istotnie, kombinacja, o której sam Pascal nie pomyślał w swoich *Prowincjałkach*. Ale nie przypuszczam, aby to było tak powszechne. Zazwyczaj – przy wielkim aparacie – rzecz odbywa się delikatniej: świadka naprowadza się na to, co

potrzeba aby zaprzysiągł; kto inny konfe-
ruje ze świadkiem, kto inny odbiera przy-
sięgę, może więc ją przyjąć z dobrą wia-
rą lub przynajmniej nie wchodząc w to
bliżej; od kogo innego świadek dostaje
pieniądze (o ile nie świadczy z przyjaź-
ni lub z wielkiego współczucia), sprawę
zaś zbawienia duszy świadka zostawia się
zwykle jego własnej trosce. Jeżeli chce,
może się wyświadczać; grzech się zmaże,
a rozwód został. (...)

Znałem blisko pewnego kanonika-filo-
zofa, który mawiał, że najlepiej już przy
ślubie dać w łapę zakrystianowi, aby po-
pełnił jaką nieformalność, zapalił o jed-
ną świeczkę mniej niż trzeba, czy coś po-
dobnego, a w potrzebie można mieć za to
unieważnienie małżeństwa. Tenże kano-
nik mawiał, iż akta takich spraw mają to
do siebie, że każda kartka powinna być
przekładana grubym banknotem.

Ach, gdyby tak móc zajrzeć do tych
aktów, co za cudaby się tam znalazło, co
za materiał dla komedjopisarza. Naprzy-
kład świadectwa lekarskie niezdolności
„skonsumowania” małżeństwa, wysta-
wiane kobietom, które żyły parę lat z mę-
żem i miały kilku zdrowych kochanków.
Bo każdy, kto się w jakikolwiek sposób
zetknie ze sprawą „unieważnienia”, musi
kłamać.

Już w tyłu sprawach obyczajowych,
tak i tu wojna stała się przełomem. Za-
męt, jaki nastał w stosunkach ludzkich
przez masowe rozłączenia, przez zmia-
nę warunków, pojęć, nastrojów, wymagał
regulowania tych spraw również niemal
masowego. Znalezione jedyne wyjście
w gromadnych zmianach religii. To, co
dawniej było wyjątkiem, stało się rzeczą
potoczną; nikt się nie wahał. (...)

Chaos, jaki to wytwarza w pojęciach
religijnych, jest znaczny, zwłaszcza u ko-
biet. Przytoczę jeden przykład. Jedna
z takich rozwodniczek, aktorka, musia-
ła przejść na protestantyzm dla uzyskania

rozvodu. Przed tak ważnym aktem po-
szła oczywiście do kościoła i spłakała się.
Później musiała chodzić na nauki pasto-
ra; wreszcie przyszedł uroczysty dzień
zmiany wyznania. Pastor mówił tak piękn-
ie, tak podniosłe, że wrażliwa artystka
znowu się spłakała. Jeszcze z wilgotnymi
oczymi spotyka znajomego na ulicy; opo-
wiada mu swoją przygodę. „No i cóż, te-
raz już pani nie będzie chodziła do dawne-
go kościoła, tylko do *ich* kościoła? – Ależ
nie, odpowiada, przeproszę Matkę Boską
i będę chodziła po dawnemu”. (...) najuro-
czystsze akty życia stają się formalistyką
i komedią, boć i rola kapłana, który w niej
bierze udział, bywa dość dziwna...

Rzecz prosta, że Kościół katolicki nie
mógł patrzeć obojętnie na te objawy; zo-
rozumiał, że niepodobna stać na dawnym
nieprzejednanym stanowisku. Nowa –
mimowolna – ofenzywa protestantyzmu
na Polskę mogła się stać groźniejsza od
owej z czasów reformacji... Dla zatrzy-
mania uciekających, rozszerzono znako-
micie możliwość katolickiego rozwodu
czyli unieważnienia małżeństwa. Już nie
w dalekim i luksusowym Rzymie, ale na
miejscu toczą się procesy, liczba ich mno-
ży się, jest tendencja aby raczej ułatwiać
niż utrudniać. (...) Już nie czysto formalne
motywy, jak np. nieprawidłowość w ogło-
szeniu zapowiedzi, etc., ale przyczyny na-
tury bardziej ludzkiej zaczynają wchodzić
w grę. Rozmawiałem kiedyś z poważ-
nym adwokatem z Poznańskiego; ze zdzi-
wieniem dowiedziałem się, jak daleko się
to posunęło; na przykład stwierdzenie, że
małżeństwo zostało zawarte bez miłości,
może wystarczyć do kościelnego unie-
ważnienia. Jeżeli na przykład znajdzie się
list, w którym panna pisała do swej przy-
jaciółki coś w tym rodzaju: „Droga Ma-
niu, wychodzę za mąż; nie mogę powie-
dzieć, bym kochała mego przysłego, ale
rodzice namawiają mnie abym za nie-
go wyszła, że to dobra partja, porządny

człowiek” etc., wówczas przedstawienie takiego listu może być punktem do unieważnienia małżeństwa, choćby były dzieci. Słowem, klasyczne „małżeństwo z rozsądku”, z posłuszeństwa, jest – nieważne, i może być w każdej chwili kościelnie unieważnione! To istna rewolucja! (...)

Jedno się tylko nie zmienia, mianowicie to, że – jak w owym znanym określeniu prowadzenia wojny – trzeba tu pieniędzy, pieniędzy, i jeszcze raz pieniędzy; no i że zwykle znów zachodzi potrzeba... pomocy ludzkiej w przeprowadzeniu do wodu. Co innego fakty, a co innego udowodnienie ich. Czyż można wątpić, że *ad usum* procesu rozwodowego będą się mnożyć antydatowane listy do przyjaciółek? (...)

Stosunki zatem dążą do pewnej ludzkości: wojewodzina Amelia z *Mazepy* mogłaby dziś otrzymać kościelne unieważnienie małżeństwa, przedstawiwszy odpowiedni list do przyjaciółki, no i mogłaby nawet wyjść szczęśliwie za swego pasierba. O trzy trupy mniej; czysty zysk dla życia, strata dla teatru. Ale każdy też przyzna, że ma to i słabe strony. Opieranie tak poważnej, a coraz częstszej sprawy na formalistyce i fałszu, z drugiej zaś stwarzanie jaskrawej nierówności w prawach wobec sakramentu, nie jest ideałem. Bo nierówność ta akcentuje się dziś tem więcej przez większe zbliżenie i rozpowszechnienie sprawy: dawniej rozwód katolicki był rzadki, odbywał się przeważnie w tak wysokich sferach, że chudopachołkowi nie przyszło na myśl przymierzać go do siebie; obecnie rzecz układa się tak, że najbogatsi mogą zostać przy wierze ojców, średniaczki muszą zmienić wiarę (bo taniej i prędszej), a biedacy mogą sobie żyć „na wiarę”. Trzy klasy, jak na kolei żelaznej.

I moż trzeba odkryć wreszcie tę Amerykę: w debatach, które się toczą na temat

rozwodów, świętoszki bronią „nierozzerwalności małżeństwa”; ale o tej nierozzerwalności dawno już mowy niema; może tedy chodzić jedynie o utrzymanie przywileju rozwodu dla bogatych. W stokilkadziesiąt lat po zrównaniu ludzi w prawach świeckich, tak jaskrawa nierówność jest trochę rażąca, zwłaszcza w religii, którą przyniesiono na świat głównie dla ubogich.

Ale wyznaję, że najbardziej wstrząsnęło mnie co innego. Ludzie żywi zawsze sobie jakoś dadzą radę, mogą się bronić, walczyć, szamotać. Pomyślałem o tych, których już niema, których życie się skończyło; o tych niezliczonych naszych babkach i prababkach, które wszak wszystkie wychodziły zamąż z namowy lub rozkazu rodziców, w zbożnym posłuszeństwie, ani śmiejąc pytać swego serca o zdanie. Myślały bidulki, że Bóg wie jakie zasługi sobie zaskarbią, tymczasem dziś okazuje się, że wszystkie te małżeństwa były wobec Kościoła nieważne, że dziś, gdyby babule dożyły, mogłyby te ich związki być unieważnione; a wszak unieważnienie nie jest niczem innym niż stwierdzeniem nieważności. Tyle łez ludzkich, tyle zmarnowanych egzystencji, tyle złamanych serc, zdławionych pragnień, i wszystko na darmo, dla nikogo, dla niczego. Biedne babuleńki! I jeszcze inna, straszniejsza myśl: jeżeli te małżeństwa z posłuszeństwa były nieważne – a wszak inaczej prawie ich nie zawierano – w takim razie my wszyscy jesteśmy bękartami, i to do szczęścia, z pokolenia na pokolenie. Ładnych rzeczy dowiaduje się Polska na swoją dziesiątą rocznicę!

Kurier poranny 1929.

Fragmenty wybrał Piotr Augustynek.

JÓZEF KABAJ

ETYKA ABELARDA (1079-1142)

24 kwietnia 2014 r. na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej UKSW odbyła się konferencja naukowa *W kręgu średniowiecznej etyki*. Wśród referatów dwa dotyczyły etyki Piotra Abelarda: dr Wojciech Wciórka (UW) przedstawił *Rozróżnienie między wolą a przyzwoleniem w Etyce Abelarda*, a dr Konrad Szocik (UJ) *Zagadnienie odpowiedzialności moralnej w etyce Piotra Abelarda*.

I. SYLWETKA MYŚLICIELA

Nie będziemy tutaj wdawać się w tak szczegółowe rozważania, jak prezentowane przez wymienionych referentów kwestie różnicy pomiędzy *voluntas* (wolą) a *consensus* (przyzwoleniem), co miało posłużyć Abelardowi do wyjaśnienia dobrowolności grzechu (dr Wciórka), czy też związku pomiędzy intencjonalnością a odpowiedzialnością moralną (dr Szocik). Abelard bowiem napisał tyle, że można z jego pism wyłowić jeszcze wiele innych myśli nie mniej przydatnych dzisiaj niż powyższe dyferencje i koniunkcje. A zachowało się tych pism sporo i są wielce interesujące. Stosunkowo niedawno wydawnictwo De Agostini wznowiło polskie przekłady najważniejszych z nich, w tłumaczeniu i opracowaniu Leona Joachimowicza. Są to: *Rozmowa pomiędzy filozofem, Żydem i chrześcijaninem*, *Etyka, czyli poznaj samego siebie*, *Tak i Nie*, *Wykład Heksaëmeronu*, *Rozprawa o pojęciach ogólnych*.

Powiemy natomiast, że Abelard był geniuszem, który swoją dialektyką wzorowaną na Sokratesie oraz logiką arystotelesowską w znacznym stopniu – choć w niewielkim zakresie, ograniczonym do zasięgu działalności pisarskiej

i nauczycielskiej jego samego oraz jego uczniów – rozjaśniał mroki końca XI i pierwszej połowy XII wieku; narażając się tym samym na potępienia ze strony synodów biskupich i na ekskomunikę samego papieża. Jak wyznaje w jednym z listów: *przez znajomość logiki stałem się znienawidzony dla świata (Rozprawy, przełożył Leon Joachimowicz, Pisma wybrane t. I, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1968, List XV, strona 452)*. Jest zatem racjonalistą, jak sam deklaruje: *za najważniejsze zadanie filozofa uważam, aby na podstawie rozumowych przesłanek badał we wszystkim prawdę, nie zwracał uwagi na mniemanie ludzi, ale szedł za wskazaniem rozumu (Rozmowa pomiędzy filozofem, Żydem i chrześcijaninem, odtąd cytowana za reprintem wydawnictwa De Agostini, s. 7)*. Z ostrożności – jak się okaże całkiem uzasadnionej – słowa te wkłada w usta jednego z rozmówców uczestniczących w fikcyjnej dyspucie o prawdzie, inaczej: o miarodajności światopoglądu. Przy czym filozof prezentuje punkt widzenia antycznej (grecko-rzymskiej) filozofii moralnej, z którym autor milcząco się utożsamia. Usprawiedliwia się zaś na wstępie owej „rozmowy” tak: *Patrzyłem w ciemności nocy i nagle ujrzałem sylwetki trzech*

ludzi, którzy idąc różnymi drogami, stanęli przy mnie (...) Wszyscy przyznajemy zgodnie, że czcimy jednego Boga (...) Jeden z nas, poganin, (...) zadowala się prawem natury. (tamże). Charakterystyczne, chrześcijańskie podejście: filozof, choć nazywany zamiennie poganinem, musi czcić jednego Boga. Abelard przyjmuje mianowicie za dobrą monetę stanowisko uczonych chrześcijańskich, wedle którego monoteizm jest ostatnim stadium rozwoju politeizmu i związanej z nim filozofii moralnej (zwanej też etyką). Przyjmuje jednak zarazem pogląd Protagorasa z Abdery, cytowany przez Platona w jego Teajecie, że to człowiek jest miarą wszystkich rzeczy, a zatem i tego, co słuszne i moralne.

Nie sposób też pominąć w tej skrótowej charakterystyce Abelarda wątku jego – by tak rzec – żywołowości. W wieku 40 lat wziął potajemnie ślub (był kanonikiem, członkiem kapituły) ze swoją uczennicą Heloizą, miał z nią syna, po czym jej wuj i opiekun w jednej osobie Fulbert – również kanonik – zemścił się na Abelardzie za złamanie umowy z nim i osobistą obrazę. Miał to uczynić w ten sposób, że zlecił zbirom pozbawienie kochanka jego podopiecznej narządów. Ponoć *władze Paryża niezwłocznie schwytały sprawców i ukarano ich tym samym, co oni zrobili Abelardowi* (Wikipedia). Kochankowie ostatecznie wylądowali w klasztorach i pisywali do siebie płomienne listy.

Ten romans także przyczynił się do ataków na niego i walenie ułatwił przeciwnikom Abelarda krytykę jego stanowiska w kwestiach teologicznych. Mimo że – jak podaje Wikipedia – *ze szkoły Abelarda wywodzi się dziewiętnastu kardynałów, ponad pięćdziesięciu biskupów, papież Celestyn II, a samą liczbę słuchaczy szacuje się na 5000.*

II. WĄTKI ETYCZNE

1. Punkt wyjścia filozofii moralnej

Najbardziej reprezentatywne dla Abelardowej teorii moralności są jego traktaty: *Rozmowa pomiędzy filozofem, Żydem i chrześcijaninem*, *Etyka, czyli Poznaj samego siebie*, oraz *Tak i Nie*. Ogólnie biorąc, wbrew swoim deklaracjom wierności doktrynie kościoła rzymskiego, a jednocześnie swojej postawie dyalektyka (napisał przecież dysputę, właściwie swoją zmyśloną wizję dyskursu) pomiędzy klasycznym filozofem, wyznawcą judaizmu i chrześcijaninem, ponadto typowy dialog *Tak i Nie*), Abelard usiłuje przewyciężyć siłą umysłu sprzeczność pomiędzy koncepcjami wszechwładzów Boga i wolnej woli człowieka, czyli jego możliwości wyboru. Augustyn bowiem próbował i zmagał się z tym problemem wielokrotnie (głównie w swoim dialogu *de libero arbitrio*), lecz jego wyjścia nie zadowalają logika racjonalisty. Religijna logika mianowicie kieruje się prawami wyższymi od rozumowych... Filozof zaś dysponuje *wiedzą o dobru najwyższym i złu najwyższym* (tamże, s. 8).

Abelard jest trzecim (chronologicznie biorąc) pośród wielkich myślicieli chrześcijańskich, którzy tak wielki nacisk kładli na rozumność człowieka jako najbardziej przekonujące świadectwo jego boskiego rodowodu – co w religijnej terminologii określa się zwrotem „obraz i podobieństwo boże” – ale też i swego rodzaju dziedzictwa, którym jest cząstka mocy stwórczej. Te właśnie zdolności, a przy tym i rolę przewidzianą dla człowieka, ażeby dopełniał swym wysiłkiem zwrotu rozpoczętego zbawcą misją Chrystusa, podkreślali przed nim bardzo mocno Orygenes i Eriugena. O ich rozumieniu wartości moralnych, o znaczeniu,

jakie przypisywali praktyce moralnego życia, wreszcie o ich wizjach zjednoczenia z Bogiem jako Praprzyczyną wszystkiego, pisałem w poprzednich dwu numerach Forum Myśli Wolnej (69 i 70).

2. Wybory moralne

Skoro rozum buduje wiedzę o dobru i złu moralnym, która odkłada się w sumieniu ludzkim (zauważmy, że w wielu językach wywodzących się z łaciny lub do niej nawiązujących ta oboczność znaczeń łacińskiego wyrazu *conscientia*, znaczącego i świadomość i sumienie, jest dziedziczona: porównaj wł. *coscienza*, hiszp. *conciencia*, fr. *conscience*, ang. *conscience*; nawet w niemieckim *das Gewissen* – sumienie – jest rdzeń *Wissen*, czyli wiedza), w takim razie sumienie – wspierane wrodzonymi cnotami głównymi – ma według Abelarda (i nie tylko) istotny udział w wyborach moralnych. Chodzi tu o czyny ludzkie. Wszyscy ludzie posiadają świadomość dobra i zła. Dlaczego więc źli ludzie wybierają złe uczynki, dobrzy zaś dobre? Zależy to od intencji (*Etyka ...*, wyd. cyt. s. 184). Same czyny, jako takie, nie przesądzają o zasłudze albo winie.

Zauważmy, że takie podejście ma swoje dobre i złe strony. Nie uważalibyśmy bowiem za słuszne nagradzanie jakiegoś złoczyńcy na przykład za to, że w potyczce z innym bandytą zabił go i tym samym uwolnił okolicę od nieustającej grabieży. Z drugiej strony ileż to razy mamy do czynienia z próbami usprawiedliwiania złych działań dobrymi intencjami! Aż to ktoś uogólnił formułką, że dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane.

I tylko Bóg – wracamy do Abelarda – jest w stanie ocenić uczynek, ponieważ tylko On zna motywację czynu, czyli intencję czyniącego dobro, albo wyrządzającego zło. Ale w takim razie teologiczna

doktryna dziedziczenia grzechu prarodźców, czyli tzw. grzechu pierworodnego (zwana traducjanizmem), nie ma najmniejszego sensu. Po pierwsze dlatego, że grzeszyć może tylko ten, kto istnieje w chwili popełniania wykroczenia, przez Ojców Kościoła zwanego sprzeniewierzeniem się woli Stwórcy. Po drugie, skoro winnym jest tylko ten, kto miał złą intencję, wobec tego potomstwo Adama i Ewy jest niczemu nie winne jako niemające przecież tej złej intencji, która doprowadziła prarodźców do osławionego przeciwstawienia się woli bożej, skutkującego wygnaniem z raju i dalszymi negatywnymi konsekwencjami, jak np. harówka Adama i męki rodzenia Ewy. Jak więc mogłoby odpowiadać za postępek sprzed tysięcy lat? Dodajmy: dość niejasny w przekazach i niejednoznaczny.

3. Ludzka sprawiedliwość

Jeśli chodzi zaś o samą etykę, to Abelard definiuje ją w *Rozmowie ...* jako rodzaj wiedzy. To najbardziej godna wiedza, gdyż nie tylko pomaga człowiekowi w osiągnięciu szczęścia, lecz zarazem w osiągnięciu dobroci moralnej. W innej swojej rozprawie, poświęconej w całości tej dyscyplinie – *Etyka, czyli poznaj samego siebie* – autor poddaje analizie pojęcia błędu, wady i grzechu. A zatem i w tym przypadku pozostaje sobą, ponieważ koncentruje uwagę na pojęciach oraz ich rozumieniu. Na przykład stawiając pytanie *czym jest wada i co właściwie nazywa się grzechem*, Abelard obraca się w obszarze filozofii języka, ongiś zwanej dialektyką. Nie pyta o to, co jest grzechem, lecz o to, co *właściwie* nazywa się grzechem. Co innego wada, która jest konkretem: jeżeli komuś czegoś brakuje (np. nogi, ręki lub rozumu), albo ma czegoś w nadmiarze (dajmy na to garb czy zbytnią pewność siebie). Grzech zaś jest

niczym jako taki, a jedynie jego nazwa coś sobą oznacza. Co oznacza? Przyzwolenie na coś, co się nie godzi. Tak jak zło i dobro są tylko nazwami intencji postępowania lub czynu.

Takie stawianie sprawy przypomina pytanie skierowane przez Sokratesa do Eutyfrona (w dialogu Platona o takim właśnie tytule): *czy bogowie lubią to, co zbożne, dlatego że ono jest zbożne, czy też ono jest dlatego zbożne, że je bogowie lubią?* (przekład Wł. Witwickiego). Nie ma więc sensu mówienie, że człowiek jest z natury zły, albo skutek odziedziczenia skazy grzechu pierworodnego.

Rzeczywisty wymiar sprawiedliwości jest sprawą Boga, ponieważ tylko on zna ludzkie intencje. Ludzkie sądy zaś potępiają i karzą za czyny – zresztą nieraz mylnie je przypisując niewinnym osobom czy uniewinniając złoczyńców. Nie wymierzają więc sprawiedliwości, skoro nie znają prawdziwych intencji sprawcy czynu, znają je tylko częściowo albo nie znają ich w ogóle. Grają zatem jedynie rolę wychowawczą (lepiej lub gorzej).

W tej religijnej – bądź co bądź – etyce same czyny pełnią wobec tego rolę drugorzędną. Człowiek grzeszy już samą złą intencją – nawet gdyby miała ona doprowadzić do dobrego skutku. I odwrotnie: jeżeli dobra intencja doprowadzi do złych następstw – grzechu nie będzie.

Teraz widać jasno, dlaczego Abelard był do tego stopnia zniechęcony przez hierarchów kościoła, że go raz po raz wyklinano. Jednym z dowodów na to jest donos samego Bernarda z Clairvaux, uczonego opata, adresowany do papieża Innocentego II. Znajdujemy w nim wiele złośliwości tego Miodopłynnego Doktora, jak go zwano, organizatora II krucjaty, świętego Kościoła Rzymskokatolickiego, Anglikańskiego i kościołów ewangelicznych, kanonizowanego już w XII w., na temat Abelarda. Oto przykłady: *mamy tutaj*

we Francji nowego teologa, co się nim stał z wieloletniego mistrza filozofii (...) nad którego rozprawą teologiczną wszyscy *zażarcie ślęczą w Kurii* [rzymskiej – dop. JK], i który choć jest *zawołanym mistrzem kłamstwa i zapalonym rzecznikiem przewrotnych dogmatów*, to *przecież czuje się bezpiecznym, ponieważ się chępi, że w Kurii ma kardynałów i dygnitarzy spośród swoich uczniów, których czyni obrońcami starych i nowych zbereżeństw*, a u których *jego coraz to nowe księgi winny by butwieć w archiwach, a nie być czytane w szkołach* (cytaty wzięte z podręcznika Jana Legowicza, *Historia filozofii średniowiecznej Europy zachodniej*, PWN, Warszawa 1986, s. 301/302, dla którego źródłem był w danym przypadku Berengar z Poitiers).

Bernard z Clairvaux nie był zresztą jedynym dostojnikiem Kościoła i teologiem, krytykującym, a nawet prześladowującym Abelarda. Dość wspomnieć o wpływowych mistrzach Wilhelmie z Champeaux i Anzelmie z Aosty, którzy nie dotrzymywali mu pola pod względem popularności wykładów i sławy. Skarżył się Abelard, że nie pozostanie mu nic innego, jak osiedlić się pośród pogan (miał pewnie na myśli Saracenów) i płacić haracze; to go będzie mniej kosztowało.

4. Znaczenie

W rzeczywistości, jak twierdzi jeden z naszych nauczycieli, nie ma tak fałszywej nauki, która by nie miała domieszki prawdy, a osobiście śmiem sądzić, że nie ma tak martwej i bezprzedmiotowej dyskusji, która nie operowałaby jakąś rzeczową i wartościową treścią (Rozmowa..., dz. cyt., s. 6).

Bernard z Clairvaux zaś tak m. in. kwitował otwartość Abelarda: *do siódmego potu się trudząc, by ochrzcić Platona, do wody składa, że sam spoganiał ze szczerem* (cyt. za: J. Legowicz, dz. cyt., s. 301).

Wielką rolę odegrał Abelard nie tylko jako nauczyciel i najbardziej w swoim czasie popularny wykładowca filozofii oraz teologii, lecz także jako uczony usiłujący stworzyć kompromisową koncepcję w sporze o uniwersalia (powszechniki), czyli o sposób istnienia pojęć ogólnych, takich jak człowiek, piękno czy sprawiedliwość, pomiędzy realizmem pojęciowym a nominalizmem. Jego koncepcja zowie się sermonizmem i sprowadza się ona w gruncie rzeczy do umiarkowanego realizmu (pojęcia ogólne powstają na drodze abstrahowania od realnych przedmiotów, zjawisk czy własności rzeczy). Prof. Władysław Tatarkiewicz określił jego udział w tej dyspucie jako przełomowy (Historia filozofii⁶, PWN Warszawa 1968, t. 1, s. 257). Według niego Abelard był *wyjatkową osobistością jak na wieki średnie (...)*; przez swoje dzieła *długo uchodził za głównego przed Tomaszem filozofa wieków średnich* (tamże, s. 261).

Nas jednak interesuje Abelard szczególnie z tego względu, że jego „filozofia moralna” jest kolejną próbą pogodzenia Aten z Jerozolimą. Wychodząc od Biblii oraz Augustyna „zagarnia” po drodze stoików, w szczególności absorbuje etykę Seneki, wielce postępują jak na I wiek n.e., lecz zapominaną przez długie wieki pomimo kilku prób jej „ochrzczenia”. Przy okazji zaś Abelard daje swoim współczesnym lekcję tolerancji w 10 wieków po Senecie i Pliniuszu Młodszym, posiłkując się formułą intencji: jeśli jacyś poganie nie mieli złych intencji, to dlaczego nie mieliby zostać zbawieni? Wszak zbawcza misja Chrystusa ma charakter uniwersalny i nie ogranicza się do samych „wybranych”!

Nie ma tylko wyrozumiałości nasz myśliciel dla bluźnierców, którzy świadomie znieważają Boga. Trudno sobie wprawdzie wyobrazić, żeby tak lotny

i otwarty uczony, przy tym mistrz logiki, uważał za możliwe uchybienie Bogu, który wedle tradycji dogmatycznej jest zarazem wszystkim i ponad wszystkim. No cóż, kompromisy i koncesje na rzecz potocznych przekonań i uczuć są warunkiem przeżycia... Jeszcze kilka wieków później niepokorni bohaterowie będą skwierczeć na stosach, jak wybitny uczony Giordano Bruno (zresztą doktor świętej teologii, a oprócz tego „okultysta i bluźnierca”), czy podpadnięta indywidualistka znająca się np. na ziołach i odwracająca wyroki boże, gdy się jej udało kogoś wyleczyć np. z kołtuna – jednym słowem czarownica. Ale pewien drobny krok został przez Abelarda zrobiony, a mianowicie w kierunku mentalnego otwarcia na dokonania uczonych antycznych (jesteśmy dopiero na przełomie 11 i 12 stulecia!) i przygotowania zarówno Odrodzenia, jak i późniejszej Reformacji. Prof. Legowicz określał nawet Abelarda mianem racjonalisty, a jego postawę uważał za zapowiedź odrodzeniowego (i nie tylko) humanizmu (Historia filozofii średniowiecznej..., s. 320). Prof. Tatarkiewicz również nie miał co do tego wątpliwości. *Wiarę rozumiał na wskroś racjonalistycznie: sądził, że rozum może obejść się bez wiary, ale wiara nie może bez rozumu* (Historia filozofii, t. 1, s. 261). □

- **„Prawdziwi Polacy” nigdy nie uwierzą, że Syn Boży był Żydem.**
- **Obrońcy wiary zawsze stoją z bronią gotową do strzału.**

Józef Maciej Roślicki

Etyka cnót Tomasza z Akwinu (1225-1274)

1. Informacje biograficzne

Tomasz urodził się w miejscowości Roccasecca w królestwie Neapolu jako syn Landulfa hrabiego Akwinu i Teresy Caracciolo. Od 5 do 14 roku życia pobierał wstępne nauki przebywając w benedyktyńskim klasztorze na Monte Cassino, gdzie opatem był jego wuj Siibald. Rodzice planowali dla niego karierę w hierarchii kościelnej. Od 15 roku życia (od 1239) przeniósł się z Monte Cassino do klasztoru benedyktynów w Neapolu, gdzie studiował sztuki wyzwolone w tamtejszym uniwersytecie pod kierunkiem Piotra z Hibernii. Po pięciu latach opuścił zakon benedyktynów i przyłączył się do dominikanów. Mając 20 lat udał się w drogę do Paryża, został jednak przez swą rodzinę porwany i uwięziony – przekonywano go, żeby opuścił zakon. Po uwolnieniu w 1245 roku udał się na studia do Paryża, skąd w roku 1248 przeszedł na dalsze studia do Kolonii, które odbywał pod kierunkiem sławnego wówczas Alberta, obdarzonego po śmierci przydomkiem „Wielki”. Tam uzyskał stopień bakałarza i napisał swoje pierwsze teksty, m.in. *Komentarz do Księgi Izajasza*. Od roku 1252 przebywał już na uniwersytecie w Paryżu, gdzie wykladał *Sentencje Piotra Lombarda* i pisał kolejne swoje teksty filozoficzne i teologiczne. W 1256 został magistrem teologii, a w 1261 rozpoczął pisanie swojej książki filozoficznej *Summa contra gentiles*, tj. *Sumę przeciw poganom*. Była to rozprawa z filozofii i teologii naturalnej, ukończona około 1266 r. (Teologia naturalna to

filozoficzna refleksja o Bogu, uprawiana czystym rozumem, bez sięgania do tzw. „źródeł objawionych”, obecnych w chrześcijańskim nauczaniu). Powstawały wówczas również inne rozprawy, których wymienianie tutaj pomijam. W 1265 r. udał się do Rzymu, gdzie prowadził zajęcia dydaktyczne w tamtejszej zakonnej szkole dominikanów. Tam rozpoczął pracę nad swoimi głównymi dziełami: *Sumą Teologii* (*Summa Theologiae*), komentarzami do pism Arystotelesa i innymi tekstami. Jesienią 1268 wrócił do Paryża. Powstawały tam kolejne prace Tomasza, a mianowicie ciąg dalszy komentarzy do Arystotelesa, tj. do jego *Hermeneutyki*, *Analitik pierwszych*, *Polityki*, *Fizyki*, *Metafizyki* i *Etyki Nikomachejskiej*. W 1272 wyjechał do Neapolu, by założyć tam dominikański ośrodek naukowy. Dwa lata później, w 1274 papież wezwał go na sobór w Lyonie jako eksperta – doradcę ojców soborowych. Tomasz, będąc już chorym, wyjechał jednak z Rzymu do Lyonu. Kronikarze podają, że jadąc na osiołku (ówczesnym środku lokomocji ludzi biednych) uderzył czołem w zwisający nad drogą konar drzewa, spadł z osiołka i przerwał podróż. Zawieszony do najbliższego klasztoru cystersów w Fossanova koło Sonnino, zmarł 7 marca 1274 r.

Po 49 latach został kanonizowany. Po śmierci – uznany za jednego z najwybitniejszych umysłów w dziejach chrześcijaństwa – obdarzony został tytułami „Doktora Powszechnego” (*Doctor Communis*) i „Doktora Anielskiego” (*Doctor Angelicus*).

2. Natura człowieka w filozofii Tomasa

Nie zrozumiemy Tomaszowej etyki, jeśli wcześniej nie zapoznamy się z Tomaszową antropologią filozoficzną, czyli z jego widzeniem i definiowaniem natury człowieka, dla którego wszak opracował etykę.

Filozoficzne fundamenty rozumienia natury człowieka przyjął Tomasz od Arystotelesa, odrzucając jednocześnie poglądy Platona. Platon uważał, że tylko dusza jest człowiekiem (jest wieczna, tzn. niestworzona, przebywająca w wiecznym „świecie idei”), a ciało jest tylko narzędziem duszy, nie będąc nawet częścią człowieka. W *Kwestii dyskutowanej O duszy* wyjaśnia Tomasz, że dusza ludzka jest formą ciała i pełni w człowieku trzy funkcje: wegetatywną, zmysłową i rozumną. Stanowi jednak wraz z ciałem jedną całość, zwaną przez Tomasza substancją. Efektem owego połączenia się duszy z ciałem jest człowiek, ludzka osoba złożona z dwóch elementów – materialnego i duchowego. Sama natomiast dusza, gdy po śmierci człowieka opuści ciało, nie jest już ani osobą ani człowiekiem, lecz jest tylko „bytem niekompletnym”, oczekującym – w myśl teologii chrześcijańskiej – na połączenie się ze swoim ziemskim ciałem w Dniu Sądu Ostatecznego. Dusza nie należy do platońskiego wiecznego świata idei, lecz jest stworzona przez Boga. Tomasz nie wskazuje jednak momentu stworzenia duszy, jak to robił św. Augustyn, który wyjaśniał, że duszę chłopca Pan Bóg stwarza w czterdziestym, a dziewczynki w osiemdziesiątym dniu od zapłodnienia. Ta ludzka dusza, będąc bytem przygodnym (tzn. niekoniecznym), ma w sobie wewnętrzne pragnienie wiecznego istnienia, pragnienie szczęścia i oglądania (wizji) Pierwszej Prawdy, czyli Boga.

Opisując naturę człowieka, Tomasz dostrzega w niej i wyodrębnia władze umysłowe i zmysłowe, oraz analizuje ich wzajemne relacje. W *Sumie Teologii* odróżnia w człowieku władze duszy i władze ciała. Dzieli je na władze poznawcze i władze pożądcze. Do władz poznawczych należy intelekt jako umysłowa władza duszy oraz zmysły jako poznawcza władza ciała. Do władz pożądczych zmysłowych należą uczucia, do umysłowych wola. Ponadto Tomasz dostrzega w człowieku i wyodrębnia władze wegetatywne, odpowiedzialne za wzrost, odżywianie i rodzenie organizmu człowieka. Przedmiotem natomiast władz poznawczych człowieka jest prawda, a przedmiotem władz pożądczych dobro. Umiejętność odróżniania dobra od zła otrzymuje człowiek wraz z urodzeniem od natury, a w świetle teologii chrześcijańskiej od Boga. Umiejętność tę Tomasz nazywa *pr a s u m i e n i e m*, ale nie uważa jej za specjalną władzę człowieka (*non est potentia*), lecz za naturalną sprawność, która będzie w ciągu życia doskonalona w miarę etycznej edukacji i moralnego rozwoju człowieka (*Suma Teol.*, cz. I, art. 79, ad 12c). Ponadto Tomasz z naciskiem eksponuje fundamentalne dla zrozumienia natury ludzkiej znaczenie posiadanej wolności wyboru (*liberum arbitrium*) jako cechy człowieka, który tym się różni od zwierząt, że ma możliwość podejmowania decyzji moralnej, opowiadania się „za” lub „przeciw” w swoim działaniu praktycznym. Ludzkie *liberum arbitrium* jest to człowiecza władza decydująca w sposób wolny o podejmowanym działaniu, władza istotna, bez której ewentualne czyny człowieka nie mogą mieć wartości moralnej, tj. nie mogą być moralnie ani dobre ani złe. Dla tak pojmanego człowieka Tomasz opracował etykę.

3. Chrześcijańska etyka Tomasza z Akwinu

Przedmiotem Tomaszowej etyki, wbudowanej w jego metafizykę i antropologię, są normy rządzące działaniem człowieka, kierujące go do jego celu ostatecznego, którym jest jego zbawienie wieczne. Opracowując etykę Tomasz wykorzystał dorobek filozoficzny Arystotelesa, zwłaszcza jego *Etykę Nikomachejską*, a przemyślenia swoje umieścił głównie w *Komentarzu do Etyki Nikomachejskiej* oraz w *Sumie Teologii*, której cała treść zgodna jest z Dekalogiem i boskim objawieniem.

a) cel wysiłków moralnych człowieka

Wyjaśnia więc najpierw Tomasz, że celem wszystkich wysiłków moralnych człowieka, w tym celem cnót, jest osiągnięcie dobra. Dobra zaś pożądane przez człowieka dzieli Tomasz na trzy rodzaje: dobra szlachetne, użyteczne i przyjemne (łac. *bonum honestum, utile i delectabile*). Czym one od siebie się różnią? Otóż dobro szlachetne jest dobrem ze swej istoty, dlatego jest godne pożądania samo w sobie. Dobro użyteczne jest pożądane ze względu na coś innego, jest środkiem do osiągnięcia wyższego celu, którym jest owo dobro szlachetne. Natomiast dobrem przyjemnym jest zadowolenie ze zdobytego dobra i radość z jego posiadania. Ponadto Tomasz wyróżnia dobra zewnętrzne (zaszczyty, bogactwa, przyjaciele) i wewnętrzne (jedne z nich odnoszą się do ciała – siła, piękno, zdrowie, inne odnoszą się do duszy – to wiedza i cnota). Cnoty natomiast dzieli Tomasz na intelektualne – doskonalące władzę poznawczą, intelekt człowieka, oraz moralne – doskonalące władzę pożądawczą człowieka, wolę. Ponadto Tomasz wyodrębnia tzw. cnoty wlane, inaczej zwane cnotami teologicznymi, do których zalicza wiarę, nadzieję i miłość. Bóg je „wlewa”, czyli darmo daje człowiekowi, by ułatwić mu osiągnięcie jego celu ostatecznego

– połączenia się z Bogiem już tu za życia na ziemi, oraz po śmierci w życiu przyszłym. Ogólna definicja cnoty zawarta jest w *Sumie Teologii* (II-II, art. 54, ad 4): „Cnotą jest dobra jakość umysłu, dzięki której żyje się w sposób prawy, i której nikt nie może użyć źle”.

b) cztery cnoty kardynalne

Nazwa cnót – k a r d y n a l n e – wywodzi się z łaciny od wyrazu *cardo*, który na język polski tłumaczymy jako zawias, w l. mn. zawiasy, czyli te urządzenia, na których zawieszono są drzwi. Mamy tu do czynienia z analogią, często przez Tomasz stosowaną. Cnoty kardynalne pełnią w życiu człowieka analogiczną funkcję, jaką pełnią zawiasy utrzymujące drzwi w futrynie. Bez zawiasów drzwi wypadają, umożliwiając dostęp do mieszkania gościom niepożądanym. Analogicznie, bez tych czterech cnót – roztropności, sprawiedliwości, męstwa i umiarkowania – nie można utrzymać porządku moralnego we wnętrzu człowieka.

ROZTROPNOŚĆ

Nie może być moralnie doskonały człowiek, któremu brak roztropności. Bez niej człowiek nie może posiadać żadnych cnót moralnych. Na czym zatem roztropność polega? Co jest jej istotą i jaką pełni funkcję w życiu człowieka?

Roztropność jest sprawnością doskonałą intelekt człowieka, a jej siedzibą jest rozum. Funkcją roztropności jest doradzanie, osądzanie i zalecanie człowiekowi podejmowania najkorzystniejszych decyzji moralnych. Główną czynnością roztropności jest właśnie zalecanie człowiekowi konkretnego, ze wszech stron przemyślanego działania. A to jest funkcja intelektualna, dlatego roztropność mieści się w rozumie praktycznym i pomaga człowiekowi we właściwym wyborze celu działań, oraz w najlepszym doborze

środków wiodących do wytyczonego celu. Tomasz przestrzega jednak, by nie utożsamiać roztropności z mądrością i wiedzą. Roztropność pozostaje w relacji z wszystkimi innymi cnotami moralnymi, które – by spełnić swe zadanie – muszą korzystać z jej wskazówek. Gdy zabraknie człowiekowi roztropności, bardzo trudno mu będzie realizować inne cnoty moralne. Będzie to wręcz niemożliwe. Roztropność nie określa celu poszczególnym cnotom moralnym, lecz jedynie zarządza środkami umożliwiającymi realizację tego celu. Cnotami pomocniczymi roztropności są: zaradność (ani zbyt powolna, ani pochopna) i rozsądek (rozsądza sporne okoliczności utrudniające praktykowanie cnot).

Tomasz wymienia również wady przeciwstawiające się roztropności. Są nimi: nieroztropność, niedbałość, niestałość, nierozwaga i pochopność. Wskazuje też na wady podobne do roztropności. Są nimi: roztropność ciała (za cel ostateczny życia przyjmuje dobro ciała), chytryść zwana też przebiegłością (stosuje dla osiągnięcia celu drogi kręte, ale posiadające pozory prawości), podstęp (stosuje środki obmyślane przy pomocy chytryści) i oszustwo (stosuje środki „zakłamate” dla osiągnięcia celu).

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Sprawiedliwość jest sprawnością doskonałą wole człowieka, której działalność skutkuje dobrem; to dlatego Tomasz przyznaje sprawiedliwości charakter cnoty, w dodatku cnoty kardynalnej. Składnikiem (cnotą pomocniczą) sprawiedliwości jest hojność, a przeciwieństwem skąpstwo, oraz ogólnie pojęta niesprawiedliwość.

Podmiotem zatem sprawiedliwości jest wola, a przedmiotem działalności woli oddawanie każdemu tego, co się jemu należy. Każdemu, tzn. ludzkiej jednostce, ludzkim organizacjom i całemu społeczeństwu.

Tomasz wyróżnia trzy główne odmiany sprawiedliwości: wymienną, współdzielczą

(społeczną), oraz rozdzielczą. Sprawiedliwość wymienna zachodzi między jednostkami, które zaciągają między sobą określone zobowiązania, wynikające np. z umów handlowych (zapłata należności, zwrot długu), czy dokonanej kradzieży (zwrot rzeczy skradzionej bądź pożyczonej).

Sprawiedliwość współdzielcza reguluje obowiązki jednostki wobec wspólnoty, np. wobec rodziny, organizacji społecznej czy też wobec szeroko pojętej wspólnoty państwowej.

Sprawiedliwość rozdzielcza natomiast reguluje obowiązki wspólnot wobec jednostki, obowiązki państwa wobec poszczególnych obywateli, obowiązki rodziny wobec jej poszczególnych członków, obowiązki organizacji społecznych i politycznych wobec swoich członków. Sprawiedliwość rozdzielcza stosuje w rozdzielaniu dóbr proporcję geometryczną, tzn. nie rozdziela wszystkim jednostkom dóbr w równych częściach (po równo!), lecz po tyle, ile każdemu się należy, bo jedni zasługują na więcej, inni na mniej. A ile należy się każdemu – o tym decyduje cnota sprawiedliwości rozdzielczej. Sprawa w praktyce trudna, ale wykonalna.

Obok trzech głównych odmian sprawiedliwości Tomasz wyodrębnia również sprawiedliwość prawną (*iustitia legalis*). Jest to odmiana sprawiedliwości współdzielczej, reguluje bowiem stosunek jednostki wobec wspólnoty. Stosowana jest w sądach, które wyrokują na podstawie przepisów prawa, a które to wyroki winny mieć cechy wyroków sprawiedliwych, czyli oddających pod sądnym to, co im się należy.

Tomasz dostrzega również i wymienia cnoty pokrewne sprawiedliwości i ją uzupełniające, mianowicie: religijność (której zadaniem jest oddawanie czci Bogu), pietyzm (to cześć i szacunek wobec rodziców), grzeczność

(właściwe odnoszenie się do wszystkich ludzi), wdzięczność (umiejętność odpłacania za doznane dobro) prawdomówność i szczerość (czyli zgodność naszych słów i czynów z tym, jacy naprawdę jesteśmy).

Rodzaje niesprawiedliwości

Tomasz wymienia ich jedenaście:

– Wzgląd na osobę. Ma miejsce wtedy, gdy na określone stanowisko pracy zamiast przyjąć osobę kompetentną przyjmuje się niekompetentną, ale sobie bliską, znajomą czy krewną. W ten sposób narusza się sprawiedliwość rozdzielczą.

– Zabójstwo. Przypadkowe, niechciane zabójstwo nie jest grzechem, jeśli zabójca zachował należyłą ostrożność. Natomiast zabijając, zwłaszcza osobę prawą, pozbawia się tej wartościowej osoby społeczeństwo, do którego ona należy, i w ten sposób narusza się sprawiedliwość współdzielczą. Dopuszcza jednak Tomasz zabójstwo napastnika w samoobronie, o ile owo zabójstwo nie jest z góry zamierzone, lecz jest wynikiem koniecznej obrony swojego życia. Natomiast za umyślne zabójstwo, niczym nieuzasadnione, Tomasz jest zwolennikiem kary śmierci.

– Samobójstwo. Jest niedozwolone z trzech powodów. Po pierwsze, jest czynem wbrew naturze, narusza bowiem naturalny instynkt samozachowawczy człowieka. Po drugie, samobójca jest członkiem społeczeństwa i należy do społeczeństwa, a zabijając siebie pozbawia społeczeństwo czegoś, co do niego należy. Po trzecie, życie jest darem Boga i tylko Bóg może je człowiekowi odebrać.

– Kradzież i rabunek. Kradzież jest potajemnym zabraniem dla siebie cudzej własności, rabunek jest jawnym zabraniem połączonym z napaścią na krzywdzoną osobę. W obu wypadkach są to działania niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe wyroki sądowe i fałszywe zeznania świadków są pogwałceniem sprawiedliwości współdzielczej.

– Obelga, zwana również zniewagą, pozbawia dobrego imienia osobę, której to dobre imię się należy. Polega na rozgłaszaniu tego, co ubliża czci należnej drugiej osobie i jest czynem niesprawiedliwym.

– Obmowa natomiast polega na mówieniu o kimś źle w jego nieobecności, na złośliwym krytykowaniu kogoś, kto ma w środowisku dobre imię, i na pozbawieniu kogoś należnego mu dobrego imienia. Jest czynem niesprawiedliwym, naruszającym sprawiedliwość współdzielczą.

– Podjudzanie. Polega na złym mówieniu o kimś po to, żeby innych oburzyć i negatywnie nastawić do danej osoby, co jest pozbawieniem tej osoby należnego jej dobrego imienia i jest naruszeniem sprawiedliwości współdzielczej.

– Szyderstwo. Wyśmiewanie się (również z osób szlachetnych), połączone z zawstydzaniem osoby wyśmiewanej z powodu jakichś jej wad, prowadzi do jej lekceważenia i obniża należne jej dobre imię. Narusza to sprawiedliwość współdzielczą.

– Złorzeczenie. Jest czynem niesprawiedliwym ponieważ jest objawem złej woli złorzeczącego, zmierzającego do pozbawienia innej osoby posiadanego przez nią dobra.

– Oszustwo i lichwa. Oszustwo narusza sprawiedliwość wymienną, zachodzi bowiem w procesie kupna-sprzedaży, kiedy się ukrywa wady towaru, albo zawyża lub zaniża cenę. Lichwa natomiast, do której dochodzi w pożyczaniu pieniędzy na zbyt wysoki procent, jest naruszeniem niezbędnej między stronami równości. Narusza sprawiedliwość wymienną.

MĘSTWO

Podmiotem, w którym rezyduje cnota męstwa, jest rozum i wola, a jej przedmiotem (polem działania) jest tchórzostwo (ucieczka przed niebezpieczeństwem) i agresja. Musimy pamiętać, że ludzka wola jest władzą „ślepą”, tzn. że

nie bada zaistniałej sytuacji moralnej, nie rozważa argumentów „za” ani „przeciw”, podejmuje jednak decyzję taką bądź inną. Podejmuje ją jednak pod wpływem argumentów przedstawionych jej przez rozum (ona sama jest wszak „ślepa”). Owa współpraca woli z rozumem uzasadnia uznanie obu tych władz za podmiot cnoty męstwa. Przedmiotem natomiast jej działań są, najogólniej mówiąc, tchórzostwo i agresja jako główne wady unicestwiającej cnotę męstwa w człowieku. Inaczej mówiąc, człowiek mężny nie ucieka tchórzliwie, gdy napotka na zagrażające mu niebezpieczeństwo, lecz rozważa i podejmuje godziwe etycznie środki zaradcze. Nie jest również agresywny z własnej inicjatywy w sytuacji, gdy ta agresja nie jest niczym racjonalnym uzasadniona, albowiem zastosowana przestaje być cnotą. Natomiast męstwo jest cnotą, pozwala bowiem wytrwać w dobru nawet w chwilach bardzo trudnych. Dlatego materią bliższą męstwa (polem jego operacji) są uczucia strachu i odwagi, natomiast materią dalszą jest niebezpieczeństwo śmierci własnej człowieka.

Tomasz w swoich analizach wymienia następujące części składowe męstwa: wielmożność, wielkoduszność, cierpliwość, wytrwałość i stałość, ufność, długomyślność i pewność siebie (beztroskę).

– Wielmożność jest cnotą pomocniczą męstwa. Jest ona, wraz z hojnością, sprawnością w dysponowaniu dużymi sumami pieniędzy. Ułatwia przeznaczanie ich na wzniosłe społecznie cele i wytrwanie w tak szlachetnej działalności. Stosowana przez człowieka wielkodusznego hojność wprowadza właściwą miarę w przywiązaniu człowieka do pieniędzy.

– Wielkoduszność jest częścią składową męstwa, cnotą jednak w stosunku do męstwa drugorzędną. Wielkoduszność rozumie Tomasz jako sprawność sięgania ku jakiemuś wielkiemu celowi.

Wielkoduszność dotyczy wszystkich cnót, ozdabia je bowiem, czyniąc je wspaniałymi. Nie wykluczając pokory, człowiek wielkoduszny postrzega siebie samego jako godnego czegoś wielkiego z uwagi na dary otrzymane od Boga. Jest zrównoważony, ma opanowane ruchy ciała, mówi spokojnym głosem. I liczy przede wszystkim na siebie.

– Cierpliwość. Łączy się z męstwem jak inne cnoty drugorzędne łączą się z cnotą główną. Istotą cierpliwości jest znoszenie ze spokojnym umysłem zła zadawanego przez innych. Cierpliwość sprawia, że mimo zła zadawanego przez innych i towarzyszącego temu złu smutku nie odstępujemy od upragnionego dobra. Właśnie cierpliwość ułatwia osiągnięcie celu dzięki wytrwaniu w dobru, mimo zadawanego nam smutku.

– Wytrwałość i stałość to cnoty drugorzędne, wspomagające męstwo. Różnią się między sobą w ten sposób, że wytrwałość sprawia, iż jesteśmy wierni dobru mimo towarzyszącego tej wierności trudu; stałość natomiast wyraża się w niewzruszonej wierności dobru mimo przeróżnych trudności zewnętrznych, niekoniecznie sprzeciwiających się stałości.

– Ufność. Jest składnikiem wielkoduszności, ponieważ w wielkoduszności stawiamy sobie cel trudny do osiągnięcia, ale jednocześnie ufamy (Bogu i sobie), że ten cel osiągniemy.

– Długomyślność. Bywa, że musimy długo oczekiwać na osiągnięcie zamierzonego celu. Temu oczekiwaniu towarzyszy smutek i być może niecierpliwość. Pokonaniu tych trudności sprzyja cnota długomyślności, która wspomagana przez cierpliwość ułatwia człowiekowi osiągnięcie celu.

– Pewność siebie (beztroska). Jest zaletą towarzyszącą męstwu. Pojawia się wówczas, gdy słabną i ustępują trudności stawiające opór męstwu, gdy słabnie

bojaźń i zniechęcenie nadmiarem przeciwności. Pojawia się wtedy wewnętrzna, czujna pewność siebie, nie mająca jednak nic wspólnego z beztroską lekkomyślną i nieostrożną.

Analizując cnotę męstwa Tomasz identyfikuje i omawia wady cnoty męstwa, czyli pewne postawy psychiczne człowieka, które utrudniają mu maksymalnie doskonałą cnotę męstwa. Do tych wad zanieczyszczających cnotę męstwa należą zuchwałość, ambicja, próżność, małoduszność i małostkowość.

– Zuchwałość. Tomasz określa ją jako podejmowanie działań przewyższających nasze siły. Naturalny porządek rzeczy wymaga proporcji między zamierzonym celem a zastosowanymi środkami. Człowiek zuchwały wytycza sobie cele ponad własne siły, a to utrudnia, bądź wręcz uniemożliwia realizację cnoty męstwa.

– Ambicja. To wada sprzeciwiająca się wielkoduszności przez przesadne roszczenie sobie prawa do nienależnej czci. Na cześć zasługują bowiem tylko osoby wielkoduszne. Tymczasem ludzie przeciętni często przejawiają ambicję w swoich zamiarach przekraczających ich możliwości intelektualne, materialne, i nierzadko moralne. Tak pojęta ambicja imituje cnotę męstwa, z prawdziwym męstwem nie ma jednak nic wspólnego.

– Próżność. Polega ona na udawaniu cnoty, której *de facto* się nie posiada, żeby zyskać w swoim środowisku uznanie, podziw, a nawet chwałę. Próżność sprzyja popełnianiu innych czynów moralnie nagananych. Tomasz wymienia wady towarzyszące próżności, nazywając je „córkami próżności”. Oto one: chępliwość, hipokryzja, upór, niezgoda, przekora, nieposłuszeństwo.

– Małoduszność. Jest przeciwieństwem wielkoduszności. Polega na niedowierzaniu własnym siłom. Jest wynikiem strachu przed niepowodzeniem i jest skutkiem niedoceniania swoich możliwości.

– Małostkowość. Jest, podobnie jak małoduszność, przeciwieństwem wielkoduszności. To rodzaj sknerstwa. Człowiek małostkowy ogranicza wydatki do minimum, skutkiem czego traci na tym wytyczony w działaniu cel. Cechą charakterystyczną małostkowości jest nierozważne traceniu dużych sum pieniędzy, które Tomasz nazywa „zjadaniem pieniędzy”. (*Suma Teologii*, II-II, kw. 135, a. 1-2c).

UMIARKOWANIE

Człowiek, będąc bytem duchowo-cielonym, posługuje się nie tylko intelektem, ale również zmysłowym pożądaniem, którego przedmiotem jest dające przyjemność jedzenie i picie (pożywienie) oraz czynności związane z zachowaniem gatunku (reprodukcja gatunku ludzkiego). Umiarkowanie jest cnotą porządkującą pożądanie, zarówno intelektualne jak i zmysłowe. Porządkowanie owo polega na zachowaniu rozumnego umiaru lub całkowitej czasowej rezygnacji z czynności pożądawczych. Całkowita rezygnacja może powodować w osobie rezygnującej smutek, ale osoba umiarkowana będzie zносиła czasową lub całkowitą rezygnację z przyjemności bez smutku. Głównym więc zadaniem umiarkowania jest utrzymanie rozumnego umiaru między pożądaniem, smutkiem i przyjemnością.

Jak przy innych cnotach kardynalnych, tak i tu Tomasz wymienia cnoty pomocnicze umiarkowania. Są nimi: powściągliwość, łaskawość i łagodność, które rozumnie kierują uczuciem gniewu. Z umiarkowaniem łączy się uczucie wstydu, który to wstyd nie jest cnotą, lecz naszą psychiczną reakcją na nikczemne postępowanie nasze własne i naszych bliskich (członków rodziny). Umiarkowaniu sprzyja skromność, która rozpoznaje, co należy, a czego nie należy robić. Zadaniem skromności jest również wspomaganie nas w nieugiętym trwaniu przy tym,

co należy. Wprowadza ona ład w pożądanie i posiada swoje cnoty pomocnicze, mianowicie: pokorę, pilność, skromność i przyzwoitość w ubiorze, umiejętność zagospodarowanie czasu wolnego, oszczędność (unikanie nadmiaru co do ilości), umiar bądź prostota jako umiejętność unikania tego, co wyszukane.

Tomasz wymienia również i omawia wady przeciwnie cnotcie umiarkowania: obżarstwo, pijaństwo, rozpusta, niepowściągliwość (nie dawanie namiętnościom należytego odporu), gniewliwość, której „córkami” są: oburzenie, nadętość umysłu, bluźnierstwo, obelga i kłótnie. Poważną wadą przeciwną umiarkowaniu jest też pycha. Istota pychy polega na tym, że człowiek swoją wolą ocenia siebie wyżej niż *de facto* na to zasługuje i wywyższa się nad innych, nierzadko dając im do zrozumienia, że nie dorastają mu do pięt. Jest zatem pycha nieuporządkowanym dążeniem do wyższości. Towarzyszy jej chełpliwość jako chwalenie się czymś, czego się nie ma, i przejawia się również w postaci kłamstwa i arogancji serca. Przeciwnieństwem pychy jest oczywiście pokora. Tomasz, korzystając z zakonnej reguły św. Benedykta, wymienia dwanaście stopni pychy, które są przeciwieństwem dwunastu stopni pokory.

Inne cnoty obyczajowe

Te inne cnoty obyczajowe, oprócz kardynalnych, należą do składników sprawiedliwości. Pomagają bowiem człowiekowi w byciu sprawiedliwym. Taką cnotą jest na przykład *p i e t y z m*, który polega na okazywaniu szacunku rodzicom i na poszanowaniu ojczyzny. Inną cnotą z tej grupy jest *p r a d o m ó w n o ś ć*, ułatwiająca przekazywanie innym prawdy. Do tych cnot zalicza Tomasz również *p o s ł u s z e n ś t w o*, któremu poświęca poszerzoną refleksję. Określa je jako poddanie się osobom doskonalszym od nas;

w szczególny sposób podkreśla poddanie się Bogu i swoim przełożonym. Wyjaśnia, że posłuszeństwo przełożonemu nie zawsze obowiązuje. Nie obowiązuje zaś wtedy, gdy niższa władza wymaga czegoś, na co nie zgadza się władza wyższa, oraz wtedy, gdy przełożony bezpośredni nakazuje coś, co przekracza jego kompetencje. Ważną cnotą obyczajową jest też *w d z i ę c z n o ś ć*, która reguluje nasz stosunek do naszego dobroczyńcy, ucząc umiejętności przyjęcia daru i odwdzięczania się za ten dar. Inną ważną cnotą obyczajową jest *p r z y j a c i e l s k o ś ć*. Sprzyja ona dobrej atmosferze w najbliższym środowisku ludzkim, zapobiega agresji i łączy ludzi w duchu przyjaźni ułatwiającej współzycie i współpracę.

4. Dalsze dzieje tomizmu (w wielkim skrócie) wśród innych kierunków filozoficznych i społecznych

Tomizmem nazywamy wypracowany przez Tomasza system filozoficzno-teologiczny, odmienny od powszechnie wówczas panującego nurtu platońsko-augustyńskiego. Dzieje tomizmu można w skrócie przedstawić następująco.

Już za życia Tomasza jego poglądy filozoficzno-teologiczne spotkały się z oporem dotychczasowych zwolenników św. Augustyna, nazywanych przez historyków „starą scholastyką”. Niektóre tezy Tomasza potępił w roku 1277 Stefan Tempier, biskup Paryża, oraz Robert Kilwardby – prowincjał dominikanów angielskich. Najbardziej atakowali Tomasza franciszkanie, zwolennicy augustyńskiej tradycji filozoficzno-teologicznej. Jeden z nich, Peckham, będący biskupem, potępił w roku 1284 w całości poglądy Tomasz. Natomiast Middletown napisał specjalny traktat pt. „Sprostowanie błędów brata Tomasza” (łac. *Correctorium fratris*

Thomae), w którym poddał krytyce 117 Tomaszowych twierdzeń.

Inni bronili Tomaszowych koncepcji. obrońcami byli jego współbracia zakonnicy, dominikanie, bronili go też niektórzy augustianie i karmelici. Bronili go również niektórzy księża diecezjalni i profesorowie Uniwersytetu Paryskiego. Dlatego poglądy Tomasza opanowały z czasem Paryż i jego środowisko uniwersyteckie. Spór o Tomasza skończył się jego zwycięstwem. Wcześniejsze potępienie Tomasza, to z roku 1277, uchylił nowy biskup Paryża w roku 1325, a dwieście lat później, w roku 1567, papież Pius V uznał Tomasza za Doktora (Nauczyciela) Kościoła. Od XVI wieku jezuita uznali doktrynę Tomasza za swoją, a Stolica Apostolska opowiadała się za Tomaszowym systemem filozoficzno-teologicznym jako za nauką Kościoła. W kontekście upadającej „starej scholastyki” jezuita w szczególności rozwijali Tomaszowe poglądy na uniwersytetach w Hiszpańskiej Alhambrze, Salamance i Coimbrze, wysiłki te jednak nie zdołały wyjść poza granice Hiszpanii i wygasły w XVII wieku.

Tymczasem w Europie pojawiły się nowe koncepcje filozoficzne. Kartezjusz (1596-1650) zainicjował filozofię nowożytną. Naturalizm w filozofii uprawiał Tomasz Hobbes (1586-1679), panteistyczną metafizykę opracował Benedykt Spinoza (1632-1677), prawdy wiary usunął z filozofii Franciszek Bacon (1561-1626). Pluralizm metafizyczny głosił Gottfried Wilhelm Leibniz (1646-1716), autonomiczne przyrodznawstwo Isaak Newton (1642-1727). Rozwijała się filozofia okresu Oświecenia, filozofia krytyczna Immanuela Kanta (1724-1804), idealizm obiektywny, logiczny i ewolucyjny połączony z filozofią kultury Georga Hegla (1770-1831), oraz pozytywizm Augusta Comte’a (1798-1857). Przewartościowanie wszystkich wartości i śmierć Boga

ogłosił Friedrich Nietzsche ((1844-1900), a naturalizm Ludwik Feuerbach (1804-1872). Wreszcie materializm dialektyczny głosili Karol Marks (1818-1883) i Fryderyk Engels (1820-1895). Dobięła końca burżuazyjna Wielka Rewolucja Francuska, w Europie upadł społeczny ustrój feudalny i zapanował kapitalizm. Pojawiły się nowe, robotnicze ruchy rewolucyjne, które zagrażały oderwaniem się od Kościoła klasy robotniczej, inspirowanej filozofią marksistowską. W takich okolicznościach ówczesny papież Leon XIII (1810-1903) opowiedział się po stronie kapitalizmu i zainicjował katolicki ruch polityczno-społeczny zwany chrześcijańską demokracją, oraz ogłosił w roku 1891 encyklikę *Rerum novarum*, w której sformułował społeczną doktrynę Kościoła. Zainicjował też odnowę filozofii chrześcijańskiej encykliką *Aeterni Patris* z dnia 4 sierpnia 1879 r., w której wskazał jako najlepszą dla chrześcijaństwa trzynastowieczną filozofię Tomasza z Akwinu, ale odnowioną w duchu obecnych czasów, wzbogaconą o osiągnięcia współczesnego przyrodznawstwa, krytycznie ustosunkowującą się do nowych nurtów filozoficznych, dlatego nazywaną neotomizmem (bądź też neoscholastyką).

Neotomizm wprowadzono do katolickich uniwersytetów, pojawiły się czasopisma filozoficzne neotomistyczne, obrodziły publikacje monograficzne. Kodeks Prawa Kanonicznego z 1917 roku zobowiązywał katolickie seminaria duchowne do wykładania filozofii w duchu Tomasza z Akwinu (*ad mentem sancti Thomae*). Niektóre zakony przyjęły tomizm jako filozoficzną formację swoich kleryków i obowiązkowe wykładanie tomizmu wpięły do swojej reguły zakonnej. W Polsce rozkwit neotomizmu miał miejsce na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL) w okresie Polski Ludowej, kierowanym przez jego rektora dominikanina

o. Mieczysława Krapca (1921-2008). Słynął wówczas ten ośrodek na całą Europę, wypracowując filozofię chrześcijańską, której profil określano jako tomizm egzystencjalny.

Czas płynął, w środowiskach kościelnych pojawiło się narzekanie na tę filozofię jako na system średniowieczny, niepasujący do dwudziestego wieku. W Polsce ks. prof. Józef Tischner (1931-2000) opowiedział się przeciwko powszechnie panującej w Kościele filozofii neotomistycznej. Uważał ją za system niezbyt otwarty, a nawet wręcz wrogi współczesnej filozofii. Tomizm uważał Tischner za zideologizowaną i zdogmatyzowaną filozofię bytu trzynastowiecznego Tomasza z Akwinu. Uważał, że „chrześcijaństwo tomistyczne” szkodliwie zaciążyło na współczesnej myśli chrześcijańskiej, a w jej ramach na profilu katolicyzmu, utrudniając mu czy wręcz uniemożliwiając ożywczy kontakt ze współczesnym światem. Rozstał się więc z „chrześcijaństwem tomistycznym”, czemu dał wyraz w swoim tekście pt. *Koniec chrześcijaństwa tomistycznego* i zwrócił się ku fenomenologii, hermeneutyce i filozofii dialogu. Zachodzące w ośrodkach naukowych zmiany zainteresowań filozoficznych znalazły zrozumienie na Soborze Watykańskim II, który w Dekrecie *O formacji kapłańskiej* z dnia 28 października 1965 r. zalecił wykładanie w seminariach duchownych filozofii „przy uwzględnieniu wyników badań filozoficznych nowszej doby”, a w wykładach alumnów seminariów historii filozofii ów Sobór zalecił zapoznawanie ich z zasadami różnych systemów filozoficznych. Dlatego reformując prawo kanoniczne, obowiązujące od roku 1917, usunięto z nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego, podpisanego 25 stycznia 1983 r. przez Jana Pawła II, obowiązek wykładania filozofii w seminariach duchownych wyłącznie w wersji neotomistycznej. □



Roman Lasa – absolwent ASP w Krakowie, uprawia rysunek, grafikę i malarstwo.

Stanisław Franczak

KOLEĐOWANIE NOWOROCZNE

*Szklana pieśń zaklęta w sopel lodu
spada pod nasze nogi z waty
toniemy jak przez mgłę we śnie
który opada na samo do duszy*

*i wzruszenie płacze już w głos
obejmując wieczór w pół
w izbie modlą się świeczki na
choince do aniołów latających pod*

*sufitem tylko Bóg zwiesił głowę
nad pustym talerzem i odlicza czas
do swego zmartwychwstania
gdy pasterze szwendają się pod*

*oknami całkiem zmoknięci i głodni
obmyślając plany napadu na pub*

MAGDALENA WULCZYŃSKA

Polski Wolter. Boy według Ludwika Szczepańskiego

3 czerwca 1919 roku decyzją Sejmu Ustawodawczego powołana została Komisja Kodyfikacyjna Rzeczypospolitej Polskiej w celu ujednoczenia ustawodawstwa w zakresie prawa cywilnego i karnego na ziemiach dawnych zaborów. Wśród projektów, wymagających niezwłocznej regulacji i unifikacji, znalazła się między innymi ustawa o prawie małżeńskim. Zarówno w dawnej Galicji, jak i w byłym Królestwie Polskim, instytucją przesądzącą o trwałości związku małżeńskiego był Kościół (w pierwszym przypadku nie istniały związki cywilne, a aktem prawnym objęty był ślub kościelny, w drugim – ślub kościelny nabierał dodatkowo mocy prawa cywilnego). Jedynie w Poznaniu, gdzie ślub świecki posiadał obowiązującą moc prawną, zaś kościelny znaczenie ceremoniału wyznaniowego, nie było przeszkód prawnych na drodze do rozwodu¹.

Nieśpieszne, często przerywane prace Komisji Kodyfikacyjnej nad reformą prawa małżeńskiego stały się w 1926 roku przedmiotem deliberacji na łamach „Nowego Kuriera Polskiego” (burzliwa dyskusja skłoniła Jana Baudouina de Courtenay do publikacji broszury zatytułowanej *Wyznaniowe i pozawyznaniowe śluby i rozwody*). W dwa lata później, gdy działania Komisji wciąż nie zdawały się zmierzzać ku końcowi, zniecierpliwiony tym stanem rzeczy Tadeusz Żeleński opublikował w „Kurierze Porannym” (30 grudnia

1928) felieton *Biedne prababki*. Artykuł sprowokował do zabrania głosu prawnicowego publicystę, który pod pseudonimem „Polak-Katolik” zaatakował Boya, imputując mu „uprawianie zawodowej propagandy rozwodów”. Gorliwy obrońca Kościoła przekonywał, iż Żeleński

operując anegdotami stara się wmówić w czytelników, że Kościół katolicki, aczkolwiek nie uznaje rozwodów, to jednakże toleruje je pod firmą unieważnienia małżeństw, pod byle pozorem. Wystarczy może czasem list do przyjaciółki świadczący, że narzeczona nie kochała swego przyszłego męża. Dzieci się mają również i nadużycia, przekupstwa i krzywoprzysięstwa świadków.

Jak się w istocie zapatruje Kościół na sprawę rozwodów, pana Boya nic nie obchodzi; woli przytaczać anegdoty z mętne-go źródła... A pisze się to wszystko jedynie w celu skompromitowania nieprzejednanego stanowiska Kościoła w sprawie rozwodów i małżeństw cywilnych i pouczenia wątpliwych, że rozwody to rzekoma konieczność życiowa i sprawiedliwość społeczno-moralna...

P. Boy-mędrzec i jemu podobni mędracy Syjonu i spod znaków masońskich chcą Polskę przerobić na swoją modłę, a podstawę moralności ludzkiej zwalczają bronią niewybredną: plotką i oszczerstwem².

² Cyt. za: T. Żeleński (Boy), *Rozerwalna nierozzerwalność*, [w:] idem, *Dziewice konsystorskie. Pieśń kobiet*, Poznań 1992, s. 23-24. Materiał do swych felietonów Boy ekscerpował w znacznej mierze z listów od czytelników oraz zasłyszanych anegdot. Stąd oskarżenia polemistów, jakoby posługiwał się plotką.

W niniejszym artykule felietony Boya cytowane są na podstawie wspólnego wydania z roku 1992.

¹ Na ten temat zob. np. B. Winklowska, *Nad Wisłą i nad Sekwaną*, Warszawa 1998, s. 137-138.

Na zarzuty „Polaka-Katolika” Żeleński replikował w felietonie *Rozerwalna nierozerwalność*, ogłoszonym w „Kurierze Porannym” (nr 6 z 1929) pod pseudonimem „Boy-mędrzec” (choć nowy przydomek rychło stał się przedmiotem szyderstw adwersarzy, pisarz sygnował tak wszystkie kolejne felietony publikowane na łamach dziennika). W ten sposób rozpoczęła się kilkuletnia kampania Boya o reformę prawa małżeńskiego i rodzinnego. Była to jednocześnie batalia o niezależność instytucji państwowych od instytucji Kościoła.

O roli duchowieństwa w Polsce i jego dążeniu do supremacji w kwestii cywilnego ustawodawstwa małżeńskiego pisał Żeleński wielokrotnie. Przytaczał przykłady kolizji między wyrokami sądów arcybiskupich a sądów państwowych, demaskował fałsz i obłudę kleru, który w walce o dominację i wypełnienie kościelnych skarbon nie cofał się przed deptaniem dogmatów oraz lekceważył zasady praworządności. Boy napominał:

Nie żyjemy dziś w czasach Bolesława Śmiałego, ale też przez prostą delikatność episkopat nie powinien by nadużywać okoliczności, że prezydent Mościcki nie nosi miecza przy boku. Szanujemy duchowieństwo; ale z chwilą kiedy ono występuje jawnie przeciw naszym ustawom, przeciw naszemu wymiarowi prawa, wówczas staje się czynnikiem przeciwpństwowym, staje się szkodnikiem. Szanujemy kanony religii, dopóki pokrywają się z ludzką uczciwością; z chwilą gdy stają się jej zaprzeczeniem, gdy stają się źródłem demoralizacji, gdy utrwalają pojęcie nierówności ludzi wobec prawa, wobec Sakramentu, gdy stają się ustępliwym służką wobec bogaczy, nieubłaganym katem dla maluczkich, wówczas jesteśmy pewni, że ktoś źle te kanony interpretuje, że ich piastunowie i tłumacze zeszli na bezdroża³.

³ T. Żeleński (Boy), *Dziewice konsystorskie*, [w:] idem, op. cit., s. 65.

Nadużycia, jakich duchowni dopuszczali się w celu zabezpieczenia własnych interesów, godziły przede wszystkim w ludzi ubogich. Zdaniem Boya to właśnie

walka o władzę tłumaczy „podwójną buchalтеріę” konsystorzy wobec tłumy a wobec uprzywilejowanych; tłum trzymać siłą, a możnych tego świata ustępliwością. Stąd pobłażliwość dla jednych, nieprzejednanie dla drugich; stąd armia konsystorskich adwokatów, która się stała zorganizowaną instytucją fałszu i świętokradztwa. Stąd wynalazek nad wynalazki: „konsystorskie dziewice”⁴.

Mianem „dziewic konsystorskich” określał Żeleński matki kilkorga dzieci, których małżeństwa unieważniane były przez sądy biskupie na podstawie *matrimonium non consummatum*. Ukuty przez pisarza termin – będący równocześnie tytułem jednego z jego felietonów, a następnie także wydanego w roku 1929 zbioru wszystkich tekstów opublikowanych na łamach „Kuriera Porannego” – urósł do rangi „symbolu złych sił zatruwających nasze życie”, symbolu „fałszu, obłudy, które zaczynają panoszyć się dokoła coraz zuchwalej”⁵. Hipokryzja episkopatu w kwestii rozwodów nie mogła – twierdził Żeleński – nie zaważyć na kondycji wiary w Polsce:

Przez swoją politykę rozwodową doprowadził Kościół do tego, że zmiana wiary jest niczym, obojętną formalnością. W kraju, gdzie wiara odgrywa rzekomo taką rolę, gdzie tyle się o niej gada, tylu ludzi wodzi nią na pasku, taki stan to rzecz groźna. Wytwarza to wrzenie jakiegoś powszechnego szalbierstwa⁶.

Felietonami publikowanymi od grudnia 1928 roku Boy-mędrzec na nowo rozpętał dyskusję na temat reformy prawa małżeńskiego. *Dziewice konsystorskie*, wydane na krótko przed uchwaleniem

⁴ Ibidem, s. 61.

⁵ Ibidem, s. 60.

⁶ Ibidem, s. 64.

projektu w tej sprawie, w znacznym stopniu przyczyniły się do sfinalizowania niespełna dziesięcioletnich debat Komisji Kodyfikacyjnej. W liście z 23 listopada 1929 Boy z satysfakcją pisał do swego krakowskiego przyjaciela, Ludwika Szczepańskiego, redaktora „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”:

Wczoraj dowiedziałem się od prof. Makowskiego⁷, że Komisja Kodyfikacyjna pod wpływem tych różnych ostróg bardzo zmieniła stanowisko i w drugim czytaniu bardzo zmodyfikowała swój projekt w duchu liberalizmu⁸.

W tym samym liście Boy dziękował Szczepańskiemu

za mile słowa, które stwierdzają w tak pochlebnej formie, że kampania, jaką zacząłem o prawa kobiet, znajduje oddźwięk u ludzkich i rozumnych ludzi⁹.

Równocześnie bowiem z walką o reformę prawa małżeńskiego Żeleński zaangażował się w kampanię o złagodzenie stanowiska w kwestii penalizacji przerywania ciąży. Pierwszy z cyklu felietonów na ten temat, zatytułowany *Największa zbrodnia prawa karnego*, ukazał się w „Kurierze Porannym” 20 października 1929 roku. Wszystkie teksty, publikowane na łamach „Kuriera”, wydane zostały rok później w tomie opatrzonym wymownym tytułem *Pieć kobiet*.

Boy nie był ani politykiem, ani ideologiem, ani działaczem społecznym. Jak trafnie zauważył Krzysztof Tur (edytor

jednego z późniejszych wznowień *Pieć kobiet*),

zajmował się sprawami społecznymi wtedy, gdy coś poruszyło jego sumienie, gdy uważał, że może pomóc w usunięciu jakichś niesprawiedliwości, naprawieniu jakichś krzywd, poprawieniu ludzkiego bytu¹⁰.

Zabierając głos w kwestii ograniczenia karalności przerywania ciąży, doktor Tadeusz Żeleński wypowiadał się nie tylko jako obywatel i publicysta, lecz także jako medyk. Doskonale zdawał sobie sprawę ze skali problemu, z którym zetknął się już w pierwszych latach praktyki lekarskiej. Jako projektodawca i pracownik krakowskiej instytucji „Kropla Mleka” (założonej w roku 1905) oraz działającego przy niej Biura Porady dla Matek i Dzieci, być może lepiej niż kto inny poznał los noworodków z najuboższych wielodzietnych rodzin. Znał także obłudę społeczeństwa, któremu ze spokojem sumienia obojętniała dola dziecka, narodzonego po zacieklej walce z głodującą przyszłą matką:

Głosić wniosły teorie o „prawie płodu do życia”, znów grozić matce więzieniem w imię praw tego płodu, ale równocześnie nie troszczyć się o to, aby nosicielka tego płodu miała co do ust włożyć... I rzecz szczególna, ten sam płód, nad którym trzęsą się ustawodawcy, póki jest w łonie matki, w godzinę po urodzeniu traci wszelkie prawa do opieki prawnej, może zginąć pod mostem z zimna, gdy matka – którą jej „święte” macierzyństwo czyni nieraz wyrzutkiem społeczeństwa – nie ma dachu nad głową¹¹.

W drukowanych w „Kurierze Porannym” felietonach przytaczał Żeleński wstrząsające historie kobiet, zmuszonych do niechcianego macierzyństwa, a następnie skazanych na pogardę przez

⁷ Wacław Wincenty Makowski (1880-1942) – polityk, profesor prawa karnego na Uniwersytecie Warszawskim, od 1919 roku członek Komisji Kodyfikacyjnej RP i jeden z twórców kodeksu karnego (1932) oraz konstytucji kwietniowej (1935). Przyjaźnił się z Żeleńskim, napisał wstęp do przełożonego przezeń dzieła Monteskiusza *O duchu praw* (wyd. 1927 jako 90 tom Biblioteki Boya).

⁸ T. Boy-Żeleński, *List do Ludwika Szczepańskiego z dnia 23 XI 1929*, [w:] T. Żeleński Boy, *Listy*, oprac. B. Winklowska, Warszawa 1972, s. 302.

⁹ Ibidem.

¹⁰ K. Tur, *Posłowie*, [w:] T. Żeleński (Boy), *Nasi okupanci*, Białystok 1992, s. 290.

¹¹ T. Żeleński (Boy), *Największa zbrodnia prawa karnego*, [w:] idem, op. cit., s. 118-119.

nieskazitelne społeczeństwo. Wiedział, że paragraf o „największej zbrodni prawa karnego” uderzy wyłącznie w osoby najuboższe.

Przerywanie ciąży – pisał Boy – stało się faktem potocznym, wcale nie tylko w wypadkach wyjątkowych życiowych katastrof; stało się faktem częstym w życiu małżeńskim, praktykuje je niejedna pani sędzina, niejedna pani prokuratorowa... Ba, sam członek Komisji Kodyfikacyjnej w tym samym dniu, w którym uchwała straszliwe kary za przerywanie ciąży, po posiedzeniu odwiedzi może swoją magnifikę w lecznicy, gdzie odbyła z komfortem ten zabieg, aby oszczędzić płodnemu prawodawcy piątego maleństwa... I pan kodyfikator nie odczuwa żadnej rozterki duszy, żadnej sprzeczności...

Bo co do tych wypadków, to nie ma obawy, aby się dostały pod srogi miecz prawa! I w tym jeszcze ohyda paragrafu. Jak wszystkie paragrafy wspierające się na obłudzie społecznej, tak i ten godzi jedynie w biedaków. Jest nieetyczny, bo trafia przypadkowe ofiary pośród dziesiątków tysięcy bezkarnych; jest niedemokratyczny, ponieważ zapewnia przywilej bezkarności tym, którzy i tak są uprzywilejowani¹².

Boy protestował przeciwko bezduszności sądownictwa i naruszaniu zasady równości wobec prawa. Opowiadając się za niekaralnością przerywania ciąży, jako lekarz myślał przede wszystkim o najuboższych matkach liczego potomstwa, często wynędzniałych robotnicach ze zrujnowanym zdrowiem, które stanęły przed wyborem narażenia życia i urodzenia (pod presją społeczną) kolejnego dziecka lub złożenia swego losu w ręce akuszerki i przerywania ciąży w niegodnych i niehigienicznych warunkach (w razie przeżycia zabiegu dodatkowo pod groźbą kary pozbawienia wolności) – *tertium non datur*. Żeleński nie był bynajmniej propagatorem sztucznych poronień i w żadnej mierze nie zachęcał kobiet do

tego typu praktyk. W felietonie *Paragraf a lancet* wyraźnie zastrzegął:

niech czytelnik sobie nie wyobraża, że ktokolwiek walczy z zapalem w obronie przerywania ciąży. Wręcz przeciwnie; wszyscy uważają to za ostateczność, która powinna by jak najrychlej zniknąć z życia społecznego. Zamiast przerywać i zabijać życie, powinno by się stworzyć warunki, w których matka mogłaby z radością dziecko urodzić. A tam, gdzie to niemożliwe, tam zamiast przerywać ciężę powinno by się nie dopuszczać do niej¹³.

W wielodzietności, która spychała ubogie rodziny na skraj nędzy, upatrywał Boy przyczynę takich problemów jak demoralizacja, wzrost przestępczości, alkoholizm, regres społeczny, upadek kultury. Rozwiązanie kwestii widział nie w zastrzeżeniu represji karnej, lecz w propagowaniu świadomego macierzyństwa. Nie ograniczył się zresztą do felietonistyki, ale podjął konkretne działania na rzecz edukacji seksualnej i regulacji urodzeń. Doktor Żeleński należał bowiem do Komitetu Organizacyjnego pierwszej w Polsce Poradni Świadomego Macierzyństwa, otwartej w Warszawie 27 października 1931 roku. W ośrodku widniał napis: „Tu się ciąży nie przerywa, tu się ciąży zapobiega”¹⁴. Poradnia rozpoczęła działalność mimo ostrych sprzeciwów opinii katolickiej, kategorycznie żądającej zamknięcia placówki ze względu na ochronę moralności społeczeństwa. Antyhumanitarne stanowisko kleru w kwestiach reformy prawa i obyczajów, oraz dominacja Kościoła katolickiego w życiu publicznym stały się tematem felietonów Boya, drukowanych głównie w „Wiadomościach Literackich” w latach 1930 – 1932, wydanych we wspólnym tomie pod tytułem *Nasi okupanci* (1932).

¹³ T. Żeleński (Boy), *Paragraf a lancet*, [w:] *ibidem*, op. cit., s. 149.

¹⁴ Zob. np. B. Winklowska, op. cit., s. 142.

¹² *Ibidem*, s. 119.

Nie trzeba wyjaśniać, że oburzona prawica klerykalno-nacjonalistyczna nie pozostawiała „demoralizujących” tekstów Żeleńskiego bez komentarza – w odpowiedzi zalewała ich autora falą inwektyw (łagodniejsze z nich to: „liberał”, „mason”, „Żyd”, „bolszewik”, „deprawator”). Polemiści z obozu klerykalnego atakowali Boya przede wszystkim na łamach warszawskiego „Przeglądu Katolickiego” i krakowskiego „Głosu Narodu” (nadto ukazały się anonimowe broszury „Polaka-Katolika”), zaś adwersarze endeccy zwykli pisywać w „Gazecie Narodowej”, „Rzeczypospolitej”, „Myśli Narodowej”, „Gazecie Warszawskiej” czy „Dzienniku Wileńskim”. Cytując Boya: „klerykalizm pokumał się z nacjonalizmem”¹⁵. Prasa katolicka i narodowa – wspierane przez dwutygodnik społeczno-kulturalny „Zet” – stanęły ramię w ramię w walce z lewicowo-liberalnym „boyszewizmem” (de-rywat utworzony od pseudonimu rzecz- nika modernizacji prawa małżeńskiego, krzewiciela świadomego macierzyństwa i przeciwnika supremacji klerykalizmu w dziedzinie polityki, kultury i obyczaju). W krótkim czasie dyskutanci dostarczyli materiału na kilkutomową monografię. Ich polemiki – lub ściślej rzecz biorąc napaści – nierzadko znacznie przekraczały swą ob- jętością atakowane felietony Żeleńskiego.

Najciekawsze filipiki pieczołowicie wybrał Czesław Lechicki. W 1933 roku przedrukował je w zbiorze *Prawda o Boyu*, poprzedziwszy niespełna 60-stro- nicowym wstępem na temat tytułowego bohatera. Lechicki wzbogacił antologię o własny artykuł pt. *Źmamacz – deprawator* (opublikowany pod pseudonimem „Verus Catholicus” w „Przeglądzie Ka- tolickim” w roku 1927), skrupulatnie

poszerzając zakres występków Boya, do czasów kampanii „obyczajowej” znane- go czytelnikom przede wszystkim z pra- cy translatorskiej. Żeleński od roku 1914 przełożył na język polski i wydał niemal sto tomów arcydzieł literatury francuskiej, składających się na Bibliotekę Boya (pro- jekt narodził się w roku 1915, a początek serii dało pięć tomów dzieł Montaigne’a). „Prawdziwy Katolik” – bo tak przecież należy tłumaczyć pseudonim Lechickiego – uznał, iż nadszedł czas na

wypowiedzenie paru cierpkich może słów prawdy o właściwym charakterze „twórczo- ści” tego, może najzdolniejszego dziś w Pol- sce, tłumacza – deprawatora. [...]

Zgodnie z wytyczonym sobie programem, postanowił przyswoić nam te dzieła, które by odzwierciedliły dwa, jego zdaniem, znamien- ne rysy literatury francuskiej, tj. racjonalizm i instynkt płciowy. Jako typowego zmysłowca o pornograficznym sposobie myślenia, in- teresował go głównie ten ostatni, to też spol- szczył bez żadnej artystycznej potrzeby takie „pikantne kawalki”, jak Brantoma plugawe Żywoty pań swawolnych (wobec których De- kameron Boccaccia lub Colloquia familiaria Erazma wydają się niewinną igraszką), da- lej dzieła Villona i Rabelais’go, Historię Ma- non Lescaut A. F. Prevost’a, Pannę de Maupin Gautier’a, elegie Verlain’a i in. Poza tym przełożył pisma autorów, potępionych oficjal- nie przez Kościół, jak Montaigne’a (wszyst- kie), Voltaire’a, Diderot’a, Musset’a, a przede wszystkim Honoriusza Balzac’a. Tego ostat- niego olbrzymią Komediją ludzką chce podob- no w całości „uprzysięgnąć” polskim czyteln- kom, ku radości różnych liberalno-żydowskich literatów i recenzentów”¹⁶.

Przejęty troską o niewinne dusze po- tencjalnych czytelników Balzaca (co gorsza, tym samym Żeleńskiego) „Verus Catholicus” konkludował:

¹⁵ T. Żeleński (Boy), *Dziewice konsystorskie*, [w:] idem, op. cit., s. 61.

¹⁶ Verus Catholicus [Czesław Lechicki], *Źmamacz – deprawator*, [w:] idem, *Prawda o Boyu*, Warszawa 1933, s. 89-90.

*Wobec tego oświadczamy, że czyn ten p. Boya musi być z góry potępiony przez katolików, ponieważ orzeczeniem Stolicy Apost., jedynie dla nas miarodajnym, opera omnia Balzac'a dostały się już dawno na indeks książek zakazanych i za ich czytanie i rozpowszechnianie grożą przewidziane cenzury kościelne*¹⁷.

Dzięki czujności demaskatora klerykalne Towarzystwo im. Piotra Skargi zreфлекowało się, że czym prędzej należy potępić Boya za „niemoralną działalność literacką” i w rok później (1928) wydało w tej sprawie oficjalną uchwałę (na niekorzyść tłumacza niewątpliwie przemawiał jego jawny sprzeciw wobec rosnącej dominacji Kościoła katolickiego).

Napiętnowanemu Boyowi i jego Bibliotece pośpieszył z pomocą wspomniany już Ludwik Szczepański, starszy od Żeleńskiego o niespełna trzy lata, urodzony w Krakowie – a dorastający w Wiedniu – poeta (pięć z jego wierszy, w tym Żeglugę, zamieścił Boy w *Wyborze poezji Młodej Polski*) i dziennikarz (założyciel i redaktor nowoczesnych krakowskich czasopism „Życie”, „Ilustracja Polska” i „Nowiny dla Wszystkich”, a od roku 1914 szef działu politycznego oraz jeden z czołowych publicystów „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”). Z Żeleńskim, znanym zapewne jeszcze sprzed czasów powstałego w 1905 roku kabaretu „Zielony Balonik”, łączyło go wiele – zarówno na płaszczyźnie literackiej, jak i światopoglądowej. Te dwie niezwykle ruchliwe i pracowite natury zbliżył przede wszystkim głęboki humanitaryzm, nakazujący działanie na rzecz wyzwolenia człowieka od klerykalnej ciemnoty i zabobonu.

Szczepański od początku popierał pomysł stworzenia serii Biblioteki. W styczniu 1917 pod pseudonimem „Jan Z.” opublikował w „IKC” dwuczęściowy entuzjastyczny felieton *O Boy'u i jego*

„Bibliotece”. Z uznaniem podkreślał, że w tak trudnym dla ruchu wydawniczego czasie Żeleński wytrwale tłumaczył i w latach 1914-1916 wydał kilkanaście tomów arcydzieł literatury francuskiej. Wyrażał przekonanie, że

Działalność Boy'a jako tłumacza będzie miała w historii naszej umysłowości osobną kartę – i wywrze niewątpliwie niemały wpływ na dalszy rozwój naszej literatury.

*Boy, można śmiało powiedzieć, stał się przez swe znakomite spolszczenia niejako odkrywcą nowych łądów dla nas. Rozszerza widnokrąg polski, zaostrza wzrok, pogłębia znajomość serc i dusz ludzkich, poleruje smak – i bije sztolnie w pokłady drogocennych kruszców, z których możemy dziś – na równi z Francuzami – korzystać... [...] Dzięki mistrzowskiemu przekładowi Boy'a znajomość najciekawszych, najżywoźniejszych arcydzieł wielkiej literatury francuskiej rozszerzyła się i pogłębiła. Najbujniejsze, najosobliwsze, najbardziej odurzające wonią kwiaty z niw i ogrodów galijskich uwił we wspaniałą bukiel*¹⁸.

Szczepański, któremu rozterki tłumacza nie były obce (sam tłumaczył, głównie z literatury niemieckiej), z atencją wypowiadał się na temat pracy Boya. Cenił go za to, że przyswajając rodzimej literaturze dzieła francuskich autorów, spolszczył je „z całym umiłowaniem, sumiennością, zrozumieniem epoki, poetycką kongenialnością i mistrzostwem języka”¹⁹ (opinii tej nie podzielał „Verus Catholicus”, wedle którego Żeleński konsekwentnie czynił zadość włoskiej sentencji *traduttore traditore*). Szczepański zwrócił uwagę nie tylko na wierność i artyzm przekładów, lecz również na osobę tłumacza – erudyty, badacza i wielkiego znawcę natury człowieczej. Poszukującego prawdy o „żywym” człowieku Boya redaktor „IKC” porównał do Michela de Montaigne'a:

¹⁸ Jan Z. [Ludwik Szczepański], *O Boy'u i jego „Bibliotece”*, „IKC” 1917 nr 18 (19 I), s. 2-3.

¹⁹ Ibidem, s. 3.

¹⁷ Ibidem, s. 90-91.

O Boy'u można powiedzieć to samo, co on pisze o Montaigne'u i określić jego Bibliotekę słowy, wyjętymi z przedmowy. [...] I Boy szuka człowieka, bada przejawy jego natury, jego zmysłów i nerwów, jego serca i duszy we wszystkich formach, bada je z wyrozumiałą ciekawością, z melancholijnym sceptycyzmem, z cynicznym, ale zarazem litotycznym uśmiechem... Poeta swywolny, szyderczo dowcipny, który we własnych „słówkach” rozrzuca pełną garścią klejnociki esprit i kpiąc z życia bez miary i widząc je bez osłon, w całej nagości, patrzy na nie przecie przez pryzmat pewnego sentymentalizmu, Boy musiał się czuć pociągnięty ku wspaniałej literaturze i kulturze francuskiej, którą zgłębił i której stał się u nas świetnym heroldem i odkrywca²⁰.

Zarówno czytelnicy, jak i recenzenci, przyjmowali kolejne tomy Biblioteki z aprobatą. Sytuacja zmieniła się jednak, gdy Boy rozszerzył obszar „poszukiwań człowieka” o twórców literatury polskiej, wydając w roku 1929 książkę *Ludzie żywi*. Zamieszczone tam szkice na temat Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Żmichowskiej, Wojtkiewicza i Grottgera w znacznym stopniu odbiegały od biografistyki akademickiej, zakłamującej – zdaniem Boya – życiorysy pisarzy. Napisane w formie portretów „bez osłonek”, ujawniały przemilczane przez historyków literatury fakty z życia twórców, pozwalające poznać i lepiej zrozumieć ich osobowość. Żeleński przede wszystkim jednak domagał się odkłamania życiorysu Mickiewicza (zwłaszcza w epoce towianizmu), przedstawianego na sposób hagiograficzny. W przedmowie do wydanych w 1929 roku *Dzieł* poety, a następnie w *Brązownikach* (1930) sprzeciwiał się kreowaniu „pomnikowego” – zamiast obiektywnego – obrazu polskiego wieszca. Polemizował z „brązownictwem” biografów, celowo

pomijających (lub nawet fałszujących) fakty z życia prywatnego, mogące poddawać w wątpliwość nienaganną postawę etyczną i patriotyczną Mickiewicza. Boy nie umniejszał bynajmniej wartości jego poezji (w której sam się lubował), lecz uważał, że należy traktować ją wyłącznie jako sztukę – nie narodową Ewangelię. Postulatem „odbrązowienia” wielkich twórców literatury polskiej Żeleński ściągnął na siebie lawinę krytyki i zyskał opinię „obrazoburcy”.

Jerzy Kwiatkowski, autor *Dwudziestolecia międzywojennego*, zauważył, że antybrązowniczą kampanię Boya wiele cech wspólnych łączyło z jego walką o reformę obyczajów: *i tu, i tam stawał on w obronie prawdy przeciw pruderii. Na kampanię tę nie miały wpływ wywarła też literacka „francuskość” Boya: jego stały kontakt z kulturą nierównie od polskiej swobodniejszą w traktowaniu spraw płci, z krytyką, dla której nie istniały żadne tabu w życiorysach pisarzy, i z biografistyką, która w tych właśnie latach przeżywała we Francji okres rozkwitu [...]*²¹.

O „odżywczej, jasnej kąpieli humanistycznej”²², jaką Boy-romanista zgotował polskiej literaturze i kulturze, pisał już w 1927 roku – przy okazji ukazania się książki Żeleńskiego *W Sorbonie i gdzie indziej* – Ludwik Szczepański. W artykule *Wyrafinowany mistyfikator* (opublikowanym w „IKC” pod kryptonimem „xy.”) dziennikarz zwrócił także uwagę na bagatelizowany przez opinię publiczną społeczny wymiar działalności tłumacza, który poprzez wykłady i spotkania we Francji stał się kulturalnym ambasadorem Polski w Paryżu:

ten Boy, który tak zażęgnywał się przed polityką i oficjalnością, spełnił we Francji doniosłą misję polityczno-kulturalną, pożyteczniejszą i cenniejszą od wielu innych misji oficjalnych.

²¹ J. Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2001, s. 452-453.

²² xy. [Ludwik Szczepański], *Wyrafinowany mistyfikator*, „IKC” 1927 nr 210 (1 VIII), s. 5.

²⁰ Jan Z. [Ludwik Szczepański], *O Boy'u i jego „Bibliotece”*, „IKC” 1917 nr 19 (20 I), s. 2.

*Zrobił dla propagandy polskiej we Francji – z pewnością więcej niż dziesiątki innych działaczy, chadzających w aureoli autorytetu!*²³

Żeleński z wdzięcznością przyjął entuzjastyczny tekst Szczepańskiego.

*Artykuł pański [...] – pisał w liście do redaktora – czytałem jeszcze w Krynicy, gdzie, jak mówił mi księgarz, wpłynął dużo na pokupność tej książki. W ogóle nie zapomniałem nigdy, że kochany Pan był pierwszym, który jeszcze w czasie wojny wspierał zawsze tak życzliwie i tak rozumnie moje usiłowania, i pierwszy w swym felietonie, który zachowałem, sygnalizował publiczności Bibliotekę Boya. Wojna minęła, ale trudności wydawnicze, z którymi trzeba walczyć, wciąż są wielkie, tym bardziej więc zobowiązany jestem za pańskie poparcie, i to w tak wszechpotężnym piśmie!*²⁴

Boy wielokrotnie zwierzał się Szczepańskiemu z problemów finansowych Biblioteki (trudności towarzyszyły serii od początku: jej pierwszy tom tłumacz wydał własnym sumptem). Publicystyka z lat 1928-1932, kampania „antybrązownicza”, a następnie działalność na rzecz reformy prawa małżeńskiego i krzewienia świadomego macierzyństwa – wszystko to przysporzyło Żeleńskiemu wielu wrogów, osłabiło (choć nie odebrało) przychylność krytyki i zdeorientowało czytelników. Nadto prasa katolicka regularnie przypominała, że wśród tłumaczonych przez Boya arcydzieł literatury francuskiej znajdują się nazwiska autorów figurujących na liście książek zakazanych. Wpłynęło to negatywnie jeśli nie na poczytność, to na pokupność, tym samym skłaniając wydawców do refleksji nad opłacalnością inwestowania w kolejne tomy Biblioteki.

Nadzieję na wyjście z tarapatów finansowych miała przynieść zawiązana w 1929 roku Spółka Wydawnicza

„Alfa”, która podjęła się wydać na nowo całą serię (złożoną ze stu tomów opublikowanych oraz przybywających) w ujednoliconym formacie pod nazwą „Błękitnej Biblioteki”. Żeleński bezzwłocznie podzielił się dobrymi wieściami z zawsze życzliwym mu Szczepańskim:

W tych dniach otrzyma pan prospekt nowego wydawnictwa Alfa, które zamierza wydać w jednostajnym pięknym wydaniu po przystępnej cenie całą dotychczasową i ewentualnie przyszlą Bibliotekę Boya.

*Kochany Pan był tym, który pierwszy zrozumiał mój zamiar i pierwszy (zdaje mi się, po ukazaniu się Montaigne'a) użył mi wspaniałego poparcia. Dlatego z całym zaufaniem udaję się do pana, aby pan i teraz zechciał trochę zaopiekować się tym wydawnictwem [...]!*²⁵

Zaprzyjaźniony dziennikarz i tym razem przyszedł Boyowi w sukurs. W odpowiedzi na jego prośbę opublikował w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” (6 lutego 1930) felieton pod wymownym tytułem *Polski Wolter*. W pochlebnych słowach wyrażał się o Boyu – „odkrywcy, Krzysztofie Kolumbie literatury francuskiej”. Zachęcając czytelników do zainteresowania serią, w poetycki sposób objaśniał fenomen tłumacza, posiadającego „wprost czarodziejską umiejętność ożywiania dzieł literackich zamierzchłej nieraz przeszłości”. Anons nowego wydawnictwa stał się dla publicysty pretekstem do zabrania głosu w sprawie prowadzonych przez Boya kampanii: „antybrązowniczej” i „obyczajowej”. Przechodząc zręcznie od zasług na niwie translatorskiej (poprzez postulat obiektywnej biografistyki) do antyklerykalnych wystąpień Żeleńskiego na łamach „Kuriera Porannego”, Szczepański – nie kryjąc aprobaty – pisał o postępowym felietonie:

²³ Ibidem, s. 4.

²⁴ T. Boy-Żeleński, *List do Ludwika Szczepańskiego z dnia 10 IX 1927*, [w:] idem, op. cit., s. 259.

²⁵ Ibidem, *List do Ludwika Szczepańskiego z dnia 16 XII 1929*, s. 258.

sięga mocną, śmiałą ręką w głąb aktualnych problemów bieżącego życia. Czyni to z uśmiechem „mędrca”, z uśmiechem pobłażliwym, czasem sarkastycznym, a zawsze z kurtuazją i elegancją. Ale pod swawolną krotochwilną formą wyczuć można serce gorące, nabrzmiałe protestem przeciw tyranii wszelkiego barbarzyństwa i głupoty... „Boy – mędrzec” przypomina pod tym względem autora Kandyda. Jak Voltaire z Ferney wysyłał ongi swoje „paszteciki”, walcząc z przesądami, budząc ruch umysłowy, wywołując dyskusję, tak Boy-Żeleński swoimi Dziewicami konsystorskimi, swoim Piekłem kobiet prowadzi nieustrudzenie kampanię pod znakiem humanitaryzmu.

Jak Voltaire błyszczy dowcipem, nieraz cynicznym, ironią i kunsztem dialektyki i jak Voltaire walcząc w imię humanitaryzmu, polemizując na wszystkie strony, umie zawołać, gdy potrzeba: „Ecrasons l'infame” [zetrzyjmy tę hańbę – red.]. Węc nie brak mu zażartych przeciwników²⁶.

Jak można było przewidywać, artykuł Szczepańskiego podziałał niczym kij włóżyony w klerykalno-nacjonalistyczne mrowisko. Przeciwnicy „polskiego Woltera” atakowali zarówno autora tekstu, jak i pismo, które dopuściło do druku felietonu. W firmowanym przez pallotynów warszawskim dzienniku „Polska” po kilku dniach pojawił się następujący respons Leona Radziejowskiego (pod kryptonimem „L. R.”):

Autor artykułiku p. L. Sz., rozpisujący się o „ambasadorze literatury francuskiej w Polsce” p. Boy'u i podnosząc olbrzymią pracę jego jako tłumacza (sto tomów) oświadcza, że Boy jest osobliwością nie tylko jako tłumacz, gdyż czego się tylko dotknie – wszystko zaczyna żyć pod jego ręką nawet w dziedzinach, w których miał fachowych poprzedników. Oczywiście, autor ma na myśli Boyowych Brązowników, wywlekających na światło dzienne rzekome „tajemnice” z życia Mickiewicza,

w rzeczywistości albo już znane, albo całkiem dla wiedzy o Mickiewiczu zbędne. [...]

Mało nas obchodzi sąd „Kurierka” o przekładach Boy'a, tendencyjnie zresztą dobieranych. Zaznaczymy tylko, że o ścisłości językowej tych przekładów znawcy literatury i języka francuskiego wypowiadają się ujemnie. Ciekawsze, co pisze p. L. Sz. o Boyu jako publicyście²⁷.

Radziejowski, przytoczywszy *in extenso* cytowany powyżej passus z artykułu Szczepańskiego, orzekł:

Tak wygląda na lamach I. K. C. ocena działalności p. Boy'a jako propagatora rozwodów (Dziewice konsystorskie) i bojownika o wolność zabijania własnego potomstwa w łonie matki (Piekło kobiet). Pasowany więc został Boy na szermierza „humanitaryzmu” i na „polskiego Woltera”.

Szkoda, że I. K. C. nie pouczył przy sposobności swych czytelników jak skończył żywot swój prawdziwy Voltaire i co czynił, by zagłuszyć wyrzuty sumienia i głuchą rozpacz duszy. Ale „polscy Wolterzy” i ich apologeti nie lubią o tym wspominać²⁸.

„Demoralizatorska” działalność „polskiego Woltera” była jednym z czynników, które w 1935 roku pogrążyły Błękitną Bibliotekę (ostatni tom – wydany w 1938 roku *Ojciec Goriot* Balzaca – podobnie jak pierwszy wolumin serii ukazał się nakładem Żeleńskiego). Boy-tłumacz zapłacił za kampanię Boya-mędrca. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro już w roku 1932, w przedmowie do tomu *Nasi okupanci*, ten drugi pisał o losach pierwszego:

Każdemu prawie w Polsce dziś wiadomo, że zjawił się antychryst, noszący miano Tadeusz Żeleński, a pseudonim Boy. Wyklinają go z ambon, wypisują o nim niestworzone rzeczy w różnych mniej lub więcej świątobliwych pismach i pisemkach. Ba, kiedy ów Boy chce wygłosić

²⁶ L. Sz. [Ludwik Szczepański], *Polski Wolter*, „IKC” 1930 nr 32 (6 II), s. 7-8.

²⁷ L. R. [Leon Radziejowski], *P. Boy-Żeleński – Wolterem*, „Polska” 1930 nr 43, s. 4.

²⁸ Ibidem.

odczyt, bodaj o poecie sprzed pięciu wieków, urzędująca całe krucjaty, aby nie dopuścić do tego zgorznięcia. Równocześnie Sodaliczka Pań w Krakowie odprawia zbiorowe modły „o nawrócenie się Boya”. (Autentyczne!)²⁹

Modły członkiń Sodaliczki Mariańskiej nie zostały jednak wysłuchane. Boy nie tylko się nie nawrócił, ale w rok później (1933) zainspirował postępowych mieszkańców Krakowa do założenia oddziału Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów. Prezesem został Ludwik Szczepański (późniejszy autor wydanych w roku 1946 broszur: *Miłość świadoma, Konieczność reformy seksualnej* oraz *Życie płciowe w pętach i Walka z nieprawdą w Polsce*), który – jak wynika z korespondencji – proponował Boyowi objęcie funkcji honorowego prezesa krakowskiego Towarzystwa. Żeleński stanowczo odmówił. W poczuciu poniesionej w Warszawie porażki (wskutek sabotażu nie doszło do otwarcia gotowej do pracy poradni świadomego macierzyństwa), pełen goryczy pisał do swego wieloletniego powiernika – Szczepańskiego:

Zbankrutowawszy zupełnie na terenie Warszawy ze swoimi założeniami i nie będąc obecnie niczym oficjalnym w tej akcji, absolutnie nie mogę przyjąć tak zaszczytnej honorowej prezesury [...]. Przy sposobności ustnie opowiedziałbym panu, z jakim oporem, i to ze stron najmniej oczekiwanych, musi walczyć myśl świadomego macierzyństwa; jak ci, którzy ją publicznie głoszą, umieją sabotować jej realizację. [...] Tym większe zadanie ma Kraków do spełnienia i z tym większą przyjemnością widzę, jak się tam dzielnie bierze do rzeczy³⁰.

W Krakowie istotnie „dzielnie brano się do rzeczy”. Mimo zwoływanych

wieczów i odprawianych nabożeństw, choć pobrzmiwał groźnie „Głos Narodu” i bił na alarm „Dzwon Niedzielny”, jednak 16 marca 1933 roku rozpoczęła pod Wawelem działalność trzecia w Polsce Poradnia Świadomego Macierzyństwa. W rok później – 25 listopada 1934 – w Krakowie odbył się pierwszy Ogólnopolski Zjazd w sprawie regulacji urodzeń i reformy seksualnej. Wkrótce krakowskie Towarzystwo zaczęło także wydawać periodyk „Życie Świadome: kwartalnik poświęcony zagadnieniom reformy seksualnej i obyczajowej” (od marca 1936 do grudnia 1937). Do jego stałych współpracowników należeli Ludwik Szczepański oraz doktor Tadeusz Żeleński, który – na prośbę redakcji – zainaugurował działalność pisma artykułem *Świadome macierzyństwo, medycyna a lekarze*.

Ze szczerą radością – pisał Boy – stawiam się na wezwanie Redakcji, przesyłając te kartki do pierwszego numeru kwartalnika, wskrzeszającego dobrze mi znane godło: „Życie świadome”. Z radością również i podziwem śledzę wytrwałą i tak świetnymi wynikami uwieńczoną pracę, jaką rozwija w Krakowie Tow. Krzewienia Świadomego Macierzyństwa; tym bardziej, iż zdaję sobie sprawę z trudności, z jakimi działalność ta musi się spotykać. W ogóle, dla propagandy świadomego macierzyństwa chwila nie wydaje się pomyślna! Tępiąca dziś w wielu krajach, w innych znowuż idea ta stała się już dobrem powszechnym i uznanym, tym samym straciła tam swój charakter walczący. U nas, mimo że formalnie nie zabrania jej żadna ustawa, dosyć jest okoliczności – nie potrzebują tu ich wskazywać – utrudniających korzystanie z tej pozornej swobody.

Mimo to nie wątpię ani na chwilę, że świadome macierzyństwo zwycięży, i to wszędzie, bez wyjątku. Obecny stan rzeczy będzie kiedyś wspomniany tak, jak wspomina się średniowiecze z jego

²⁹ T. Żeleński (Boy), *Od autora*, [w:] idem, *Nasi okupanci*, Białystok 1992, s. 123.

³⁰ T. Boy-Żeleński, *List do Ludwika Szczepańskiego z dnia 17 IX 1934*, [w:] idem, op. cit., s. 416.

*paleniem czarownic, lub późniejszą walkę przeciw szczypteniu ospy*³¹.

Żeleński ze grozą pisał o dysonansie między postępowaniem medycyny a niewiedzą i powszechną niechęcią lekarzy do udzielania porad w zakresie zapobiegania ciąży:

*Skoro lekarze nie chcą wychowywać społeczeństwa – perorował – trzeba aby społeczeństwo wychowało lekarzy. Z całą świadomością swoich praw należy żądać od lekarza, aby, w razie potrzeby, udzielał porad zapobiegawczych; trzeba moralnie zmusić lekarzy do tego, aby nabywali najszerszą wiedzę w tym zakresie; aby przechodzili specjalne kursy w poradni warszawskiej lub krakowskiej, skoro uniwersytety odmawiają im wiedzy. Więcej jeszcze: powinny kobiety solidarnie bojkotować lekarzy, którzy zajmują wobec nich tępe i nieludzkie stanowisko; ewentualnie kobiety – lekarki powinny się specjalizować w technice zapobiegawczej. Przede wszystkim zaś trzeba wydobyć te sprawy z mroku, w jakim zbyt długo – i jak straszliwym kosztem! – je trzymano; trzeba pisać o nich, i mówić o nich głośno. Wówczas, nawet poradnie – których tworzenie na prowincji zwłaszcza, połączone jest z takim trudem – będą z czasem zbyt liczne, bo każdy gabinet lekarski stanie się poradnią. Wówczas może Polska przestanie być cmentarzyskiem niemowląt i piekłem kobiet, a stanie się krajem szczęśliwych rodzin, kwitnących i zdrowych dzieci*³².

Zasługi „Boya-mędrca” w dziedzinie krzewienia świadomego macierzyństwa i reformy obyczajów są nieocenione. Wierny druh pisarza, Szczepański, w wydanej w 1946 roku broszurze *Konieczność reformy seksualnej* wspominał:

*Boy (dr Tadeusz Żeleński) jał silnie wstrząsając opinię publiczną „obrazkami z życia”, zebrany potem w głośnych broszurach i książkach: *Piekło kobiet, Jak skończyć z piekłem kobiet, Nasi okupanci, Zmysły, Wspaniały swój talent literacki, swą wnikliwość obserwatorską, swój humanitaryzm Boy, polski**

³¹ Boy-Żeleński, Świadome macierzyństwo, medycyna a lekarze, „Życie świadome” 1936 nr 1, s. 4.

³² Ibidem, s. 6-7.

*Wolter, oddał na usługi akcji i pchnął ją na-przód potężnie w całej Polsce, bo głos jego był wszędzie słuchany i trafiał do mózgów i serc. Ohydne zamordowanie Boya, znajdującego się w pełnym rozkwicie sił i talentu, przez Niemców we Lwowie, wyrzuciło Polsce niepowetowaną stratę i nie będzie nigdy przez Polskę zapomniane!*³³

W wierszu, napisanym po śmierci „polskiego Woltera”, Szczepański ubolewał nad niewyobrażalną, jeszcze nie-uświadomioną stratą, którą być może zrozumieją dopiero przyszłe pokolenia Polaków. Epicedium kończył słowami:

*Ach, czemuż dzisiaj w Polsce nowej,
W Polsce niewoli, burz i znoju
Słowa Twojego braknie, Boyu?*³⁴ □

³³ L. Szczepański, *Konieczność reformy seksualnej*, Kraków 1946, s. 20.

³⁴ L. Szczepański, *Na śmierć Boy'a-Żeleńskiego*, [w:] idem, *Z dni tułaczki. Strofy wolnego człowieka*, BJ Przyb. 238/10, k. 28. Rękopis wiersza znajduje się w nieopublikowanym dotąd zbiorze utworów Szczepańskiego, powstałych na Węgrzech między lutym 1944 a lipcem 1945.



Roman Lasa – absoluwent ASP w Krakowie, uprawia rysunek, grafikę i malarstwo.

Tajemnica stworzenia

Do świata, w którym pojawiliśmy się niejako na przekór (choćby entropii, która na nim obowiązuje), ciągle jesteśmy nie w pełni dopasowani. Żyjemy pokonując nieustannie przeciwności i ograniczenia, narażeni na okresowe ataki natury, nieustanną kotłowaną będącą wynikiem zderzania się wszystkiego ze wszystkim w procesie trwania.

Obiektywnie trudno więc pojąć wynikłe pewnie z chwilowych uniesień rozumowanie, z jakim tu i ówdzie się spotykamy, jak np. z tego uniesienia, które nas samych ogarnia w ciepły, spokojny, letni wieczór, przepełniony blaskiem ciemniejącego błękitu nieba: jak to nasz świat został pomysłowo i harmonijnie urządzony, jakby specjalnie na potrzeby człowieka. Jak wszystko, co chcemy zrozumieć, natychmiast odkrywa swoje tajemnice. Jak to specjalnie, by radować nasze zmysły, Ziemia mieni się kolorami. Jak trafnie wszystko jest wyważone i zaprojektowane w jedyny możliwy dla naszego istnienia sposób. Strach pomyśleć co by było, gdyby atomów wodoru we Wszechświecie było ciut-ciut mniej niż akurat jest, a Ziemia była troszeczkę, no dosłownie paręset kilometrów bliżej Słońca niż jest.

Ten ton rozumowania funkcjonuje również w nauce. Na innym, bardziej subtelnym, wyższym poziomie, ale istnieje. Przyczyną jest zapewne ukryty, zrodzony wraz ze świadomością, głęboko w nas osadzony antropocentryzm. Niechętnie rezygnujemy z wiary

w wyjątkową odmienność człowieka w stosunku do wszystkiego, co go otacza. W zasadzie nie przeszkadza to w ustalaniu faktów, wyjaśnianiu kolejnych prawidłowości i zależności w świecie przyrody. Najwyżej rozmywa obraz drogi, którą te fakty nas prowadzą.

Wielu kosmologów stoi wręcz na stanowisku, że powstanie człowieka, w ogóle powstanie życia na Ziemi, nie mogło być samoistne, lub – jeżeli już – to jest to fakt niemający precedensu w całym Wszechświecie, a to ze względu na stopień skomplikowania tego procesu. Pod sformulowaniem „powstanie życia” nauka rozumie bowiem utworzenie się w procesie ewolucji sekwencji (segmentu) kilkudziesięciu aminokwasów w odpowiedniej kolejności. Statystycznie prawdopodobieństwo takiego trafu jest wręcz niemożliwe, bo (jakoby) wyraża się matematycznie nie dającą się ogarnąć liczbą prawie jak jeden do ilości wszystkich atomów w naszym Kosmosie.

Ostudźmy emocje i spojrzymy trzeźwo. Czy rzeczywiście samoistne powstanie życia jest rzeczą niewiarygodną, faktem wykraczającym poza doświadczenie? Zastanówmy się, z jakim mamy to do czynienia błędem w rozumowaniu. Błąd ten polega na tym, że – gdy stosuje się argument unikalności – pomija się podstawowy element, a mianowicie ten, że natura niczego nie odtwarzała, co było przedtem. Wypadło akurat jak wypadło. W efekcie mamy po dwie ręce, dwie nogi, cztery razy po pięć palców,

rozumujemy tak a nie inaczej i wiele w nas niedoródek. Podobamy się sobie – jakże mogłoby być inaczej?

Błąd wynika zapewne właśnie z owej bezgranicznej akceptacji siebie; co jest – wobec braku porównań (jak wielu sądzi) – najzupełniej naturalne, zrozumiałe i wręcz niezbędne. Jednak kolejność była następująca: najpierw, powiada się, zostaliśmy stworzeni (teologia), a dopiero potem zaakceptowaliśmy samych siebie i świat wokół, co było dla nas jedyną, niemającą żadnej alternatywy, bezwzględną koniecznością, czy raczej naturalną kolejną rzeczą. Dopiero długo po uzyskaniu świadomości, w miarę poznawania, jak jednak skomplikowana jest dla nas budowa świata ożywionego, zaczęliśmy odwracać kota ogonem i dochodzić do wniosku, że jest niemożliwością, by zwykły traf mógł zainicjować taki proces stworzenia.

W tego typu rozumowaniu wstecznym brak jest względności. Względne jest bowiem tylko to, co możemy porównać z czymś innym. Dowody statystyczne są w tym przypadku absurdalne. powstaliśmy w wyniku miliardów zależności, okoliczności i warunków towarzyszących historii powstawania naszej planety, trwającej również miliardy lat. Powstaliśmy z tego co było, co się kłębiło, łączyło, rozłączyło, zderzało, wirowało. Abstrakcyjnie upraszczając, to nie atomy przypadkowo ułożyły się tworząc nasz obraz, tylko nasz obraz wynika z takiego akurat ułożenia atomów. Nic nas nie przystosowywało do przeżycia, po prostu w takiej akurat formie przetrwaliliśmy, przynajmniej w fazie początkowej. Wszelkie przemawiające do wyobraźni metody statystyczne mają sens jedynie w przypadku samoistnego odtworzenia rzeczy, która już była. I tak na przykład odtworzenie telewizora plazmowego

przez potrząsanie workiem atomów jest oczywiście niemożliwe, a prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest – obojętne w jak rozległym czasie – zerowe. Natomiast potrząsanie workiem atomów przez paręset milionów lat z zamiarem przekonania się, co z tego wyniknie, jest już o wiele bardziej sensowne, a jakiś tam efekt prawdopodobny.

Weźmy do ręki garść suchego piasku i rozrzućmy na karton lub kawałek brystolu. Zróbmy zdjęcie. Czy coś nas zadziwia w takim a nie innym rozrzucie ziarenek piasku? Raczej nie. To teraz powtórzmy nasz „wyczyn” w identyczny sposób. Możemy dłużej niż całą wieczność powtarzać tę czynność nie uzyskując identycznego ułożenia ziarenek piasku, mając pełną świadomość, że nie dokonamy tego nigdy. Co więc skłania nas do tego, by kwestionować lub określać jako zdumiewająco nieprawdopodobny ten pierwszy rozrzut ziaren, który spowodował powstanie życia? W porównaniu z czym wydaje się on niewiarygodny?

Możemy być pewni, że gdyby czas się cofnął i proces ewolucji zaczął przebiegać od nowa, w identycznych co do joty warunkach powstałoby coś zupełnie innego. Być może w ogóle nie doszłoby do powstania takich form życia, jakie reprezentujemy. Tak czy tak jest pewne, że nasz wygląd, funkcje życiowe, sposób pojmowania – byłyby niewyobrażalnie odmienne, co oczywiście nie przeszkodziłoby nam być i wówczas przekonanymi, że to najpiękniejsza forma istnienia, jaka mogła zaistnieć, oraz że jest nie do przyjęcia, by mogła powstać przypadkiem.

Wydaje się zagadkowym sposób zogniskowania naszego postrzegania, często odwracającego kolejność skutku i przyczyny. Być może blokuje nas

zrodzona w nas logika, która nam podpowiada, że jakkolwiek porządek nie może powstać na skutek przypadku. Zgoda, ale jaki to porządek i co to jest przypadek? Po pierwsze – to porządek, który zastaliśmy i do którego dopasowany został nasz wzorzec rozumowania. Po drugie – według zasad tej samej logiki – przypadek to nic innego jak, najprościej ujmując, brak rozpoznawalnej prawidłowości. Jakże często w przeszłości określaliśmy pojęciem przypadku wynik czegoś, czego nie rozumieliśmy! W momencie, kiedy prawidłowość poznajemy, przypadek przestaje być przypadkiem.

Cechuje nas przedziwna mieszanina antropocentryzmu z antropomorfizmem. Przywykliśmy już, w momencie gdy mamy do czynienia z ustalaniem szczegółów, do sformułowań (pełno ich i w tym tekście) w rodzaju: natura pomyślała o tym lub owym, zrobiła to lub tamto, znalazła sposób, ewolucja skonstruowała, wykazała się roztropnością, była przewidująca i tym podobne. Przy okazji. Rozumowanie oparte na przekonaniu o braku przypadku w procesie powstawania życia mogłoby mieć sens w jednym przypadku: gdybyśmy, wykonując salto myślowe, abstrakcyjnie założyli, że nasz kosmos i my sami jesteśmy na poziomie subatomowym częścią jakiegoś organizmu nieogarnionej wielkości. Wtedy rzeczywiście o naszym powstaniu w określonej formie i miejscu zdecydowałyby reguły kodu genetycznego owego niewyobrażalnie rozległego mega-organizmu, a nie przypadek. Wtedy nasz Układ Słoneczny nie byłby doskonałym mechanizmem, jak go zwykliśmy określać, lecz organizmem; i to oglądanym przez nas z pozycji rozmieszczenia subcząstek jakiejś jednej komórki składającej się na całość czegoś egzystującego w całości, ze względu na swe

rozmiary w zupełnie innym wymiarze czasu, w którym np. jedna sekunda oznaczałaby dla nas tysiące lat. Jednak nawet przy tak fantastycznym założeniu nie byłoby pewne, jaki margines dowolności zawierałyby owe narzucone z góry prawidła, mające – założmy – doprowadzić tylko do powstania życia organicznego. Zapewne i przy tak nietypowej tezie trzeba by liczyć się z tym, że gdyby cały proces się powtórzył – wyglądalibyśmy i myśleli inaczej; spełniając, oczywiście, te same wymagane funkcje.

Dla pełnej jasności. Powyższe delibracje nie mają nic wspólnego z chęcią wykluczenia mistyki z „aktu stworzenia”. To jest dialog z logiką, a nie wiarą. Naturalna potrzeba wiary, podobnie jak odwieczna emanacja wewnętrznej dążności do harmonii, etycznego ładu, intuicyjnego budowania wyżyn swojego człowieczeństwa, spełniała i spełnia pozytywną rolę w rozwoju człowieka. Zresztą, jak się przekonamy na końcu, istnienie niepojętej Siły Wyższej zawsze może być i jest aktualne na każdym (? – pyt. red.) poziomie wiedzy i rozumowania.

Ktoś mógłby zadać pytanie: tak między bogiem a prawdą, czym się tu epatować? Gdzie tkwi haczyk, w czym sedno naszych intuicyjnych wzlotów myśli i przekonań o naszej wyjątkowości i niebiańskim rodowodzie? Czy chodzi tu tylko o owe ważne sprawy, jak nieśmiertelność duszy, ukryty sens życia, czy też – oprócz tego – jest jeszcze w nas jakaś rzeczowa przyczyna? Życie przecież nie jest bajką, a człowiek istotą idealną i pełną. Pomijając niedoskonałości naszej psychiki, jesteśmy nieodporni na tak wiele czynników, że trudno by je tu wyliczyć. Niech to robią wyspecjalizowane stacje epidemiologiczne, meteorologiczne, toksykologiczne, wodne, górskie i urazowe pogotowia oraz inne instytucje powołane

z konieczności wynikających z naszej fizycznej niedoskonałości i niepełnego dostosowania.

Tolerujemy pobłażliwie, a nawet z humorem, naszą identyczną ze zwierzęcą biologię. A jednak, mimo wszystko uważamy nasze istnienie za coś nadzwyczajnego, a siebie samych za coś odmiennego od wszystkiego i... mamy rację, tylko szukamy jej potwierdzenia nie tam gdzie trzeba. Swoje zadziwienia kierujemy w niewłaściwe miejsca. Warto zacząć odkrywać tajemnice naszego życia tam, gdzie one rzeczywiście występują. nasze życie bowiem, to na co natykamy w trakcie jego trwania, jest w wielu razach zadziwiające. Jakże często pomijamy te zauważenia, eksmitujemy je z pamięci dla wygody i spokoju. Szukamy zawsze wyjaśnienia przyczyn w drugim człowieku, idąc po najmniejszej linii oporu. Rozpraszamy niezwykłość zdarzeń naszymi interpretacjami.

Tak zwane cuda, nie dające się wyjaśnić koincydencje, zdarzają się w naszym życiu wbrew pozorom często. Są zadziwiające przez naszą zwykłą niewiedzę. Można by powiedzieć, że pozwalamy na zbyt wiele wobec nas, nie dążąc do ich rzeczowego uchwycenia i zrozumienia. Jednym słowem, nasze świadome życie jest rzeczywiście czymś niezwykłym; i to w znaczeniu o wiele głębszym, niż przypuszczamy.

Te konstatacje kierują uwagę na nasz najważniejszy organ – na mózg. Oczywiście, w trakcie ewolucji również mózg rozwijał się, by zwiększyć szansę organizmu na przetrwanie. A więc cały proces był skupiony wyłącznie na tych bodźcach zewnętrznych, które biologicznie były ważne do przeżycia. Równolegle tworzył się w mózgu model rzeczywistości oparty na owych selektywnie wybranych sygnałach z obszaru otaczającego organizm

środowiska. W ten sposób i nasza psychika została ewolucyjnie przystosowana do wybiórczo określonego przeżywania świata, jaki nas otacza. Wraz z rozwojem biologicznym budowana była tak zwana „wiedza wrodzona”, którą to wiedzę posiada cały świat ożywiony. Stąd mysz boi się kota, choćby nigdy w życiu wcześniej go nie widziała, kura lisa czy kuny, a gołąb jastrzębia.

Przystosowanie do przeżycia, co jest ewidentne, nie daje pełnego ani też obiektywnego obrazu świata. Wiemy to także z doświadczeń na zwierzętach, których wiedzę wrodzoną łatwo oszukać, co też zostało udowodnione w wielu laboratoriach. Nawiasem mówiąc szkoda, że nie umiemy odnieść tego stanu rzeczy do siebie uważając, że jesteśmy na ostatnim piętrze rozwoju; mimo świadomości, że jesteśmy ślepi i głusi na obiektywny całościowy wymiar i wygląd naszej zewnętrżności. Nie tylko nie odbieramy impulsów naszego świata omijających nasze zmysły, ale i nie posiadamy ukształtowanej matrycy czy modelu, według którego mielibyśmy te sygnały-impulsy interpretować.

Jednym słowem – dostępne są dla nas tylko te elementy rzeczywistości, które pozwalają na przetrwanie na ogólnych warunkach biologicznej homeostazy środowiska, które nas zrodziło. To oczywiste, że konglomerat tych elementów staje się niewystarczający, zbyt ciasny dla funkcjonującej w nas umiejętności abstrakcyjnego myślenia, umożliwiającego precyzowanie potrzeb o wiele szerszych. Wyobrażeń tworzonych w oderwaniu od samego procesu przetrwania jako gatunku. Konstruowania pragnień swobodnego życia na wyższym poziomie niezależności od środowiska, czy też wydostania się spod wpływu niszczącego, irracjonalnego, antyhumanistycznego zła, tak

widocznego dla każdego i zarazem tak trudnego, przez swoją przewrotność, do scalającego wszystkie jego objawy zdefiniowania. To nadaje kierunek, w jakim powinny zdążać nasze wysiłki w szukaniu obiektywnej wiedzy o rzeczywistości i nas samych.

Rzecz nie w tym, że pochodzimy od małpy; rzecz w tym, że to wiemy. Jedyne nasze atuty to samoświadomość, dzięki której jesteśmy w stanie rozpoznawać i analizować nasze arcydzieła. Budować chęć przełamania istniejących w nas ograniczeń, niepozwalających na głębsze poznanie obiektywnych wymiarów tego, co nas otacza. Mieć przeświadczenie, że nasz świat, dostępny naszym zmysłom, traktujemy jako jedyny realny i możliwy wyłącznie dlatego, że tak ukształtowane zostały w nas procedury postrzegania i rozumowania, do których przywykliśmy. Niezależnie od ograniczeń naszej umysłowości, o których wiemy i których się domyślamy, to właśnie mózg kryje do dziś najważniejsze tajemnice, a jedyna rzeczywista zagadka, niemająca swojego wytłumaczenia, jest związana z ewolucją właśnie tego organu naszego ciała.

Na początek powróćmy do procesu ewolucji. Próbując prosto i obrazowo podsumować to, co działo się samoczynnie przez setki milionów lat na naszej planecie, najlepiej sięgnąć do porównania francuskiego biologa molekularnego, laureata Nagrody Nobla z 1965 r., François Jacoba. Ewolucję porównuje on do majsterkowicza, który nie wie, co ma zamiar skonstruować. Majsterkowicz używa wszystkiego, co mu wpadnie w ręce, to, co zmałstruje, nie jest efektem planu, ale ciągu różnych bieżących okoliczności i wydarzeń. W ten sposób majsterkowicz nadaje swoim konstrukcjom niespodziewane nowe funkcje: ze

starego koła robi ruletkę, ze złamanego krzesła stolik pod radio. Podobnie ewolucja – w nieporównanie dłuższym czasie oczywiście – robi z płetwy nogę, z nogi skrzydło, lub z części żuchwy część ucha, przystosowując swoje wytwory do nowych warunków.

Niech nas nie zwiedzie lekki ton tych porównań. Mowa tu o jasnych, ustalonych faktach, opartych na naszej wiedzy o setkach tysięcy poznanych zależnościach i zmianach, jakie w historii Ziemi wpływały na rozwój wypadków. Ta jasność jednak ulega rozproszeniu przy badaniu ewolucji naszego mózgu. Oczywiście, stanowi on element przystosowania do potrzeb utrzymania gatunku. Nie do końca jest jednak wiadome, do czego jeszcze. Formowanie mózgu następowało przez nakładanie się struktur nowych na starsze. Jednak proces scalania jego poszczególnych elementów nie był tak pełny jak w przypadku innych narządów. Niejasne jest, jak uważa François Jacob, nagle powstanie kory mózgowej i to w tak wyprzedzającym tempie rozmiarze. Niezaprzeczalnie, to pojawienie się kory mózgowej doprowadziło do powstania człowieka współczesnego, jednak – jeśli patrzymy na nasz organizm łącznie z pierwotnymi elementami mózgu – wygląda to tak, jakby ktoś przyspawał czy dośrubował silnik odrzutowy do furmanki.

Tajemnicą przez nas jeszcze niezbadaną są okoliczności i zespół potrzeb, który spowodował powstanie kory mózgowej i to w takiej obfitości, że wpłynęło to na zmiany w cyklu biologicznym człowieka. Do dziś objętość kory mózgowej nie jest przez nas w całości wykorzystywana.

Jeszcze bardziej niejasne są relacje kory mózgowej z pozostałymi częściami naszego mózgu. Współpraca

półkul mózgowych z międzymózgowiem i pniem mózgu jest anachroniczna, niezhierarchizowana, nieharmonijna, niedająca się usystematyzować. Wywołuje to skutki rzutujące na to, jak przeżywamy świat. Jak wiadomo, półkule mózgowie zawiadują czynnościami intelektualnymi, poznawczymi, pełnią funkcje rozumowe, podlegając równocześnie wpływom archaicznych części mózgu, odpowiedzialnych za wszelkie wrodzone, instynktowne sposoby zachowań, a także na nasze uczucia, popędy i emocje. Te impulsy w sposób nieuszeregowany rywalizują ze sobą w nas, często przeszkadzając sobie nawzajem, stresując, wywołując nieporozumienia w funkcjonowaniu organizmu. Ma to wpływ na nasze życie, zapewne włącznie z jego długością. Z tego wynika, że to, co nazywamy „wolną wolą”, to właśnie istniejąca możliwość wybranego rozumowego przeciwstawiania się niektórym z tych impulsów w powiązaniu z okolicznościami. Warto dodać, że nieograniczony zakres tej możliwości jest obecnie coraz częściej kwestionowany.

Niezależnie od wszystkiego nie ma porównania między naszym nieodpornym prawie na wszystko organizmem – zamkniętym w klatce czasu, nieprzystosowanym w pełni nawet do chodzenia na dwóch nogach, bo z systemem krążenia przejętym po czworonogach (jak wiadomo zwierzęta nie mają problemów z żyłakami czy niedokrwieniem mózgu – a otrzymaną możliwością posiadania aparatu wolnej abstrakcyjnej myśli, dla której nie ma żadnych granic czasu czy przestrzeni w tworzeniu wizji, skojarzeń, refleksji. Tak więc mimo coraz większej wiedzy element tajemnicy pozostaje, a droga do rozwijania mistycznych wersji naszego powołania do istnienia nadal stoi otworem.

Wypada więc z pełną pokorą zapytać Najwyższy Absolut, co miał na celu obdarowując nas płatami czołowymi? Niewykluczone, że ewolucja postanowiła skończyć majsterkowanie przy nas (antropomorfizm – red.) i te 15 miliardów dodatkowych komórek nerwowych, składających się na naszą korę mózgową to prezent na koniec, z zapasem na przyszłość, obliczony na to, że zaczniemy sobie radzić sami. No to zacznijmy. Niezależnie od tego, ile głębokich tajemnic w tym się kryje. Szukajmy przyjemnych, nie zadowolając się rozpoznawaniem skutków. Zmieniamy nasz świat, jednocześnie nie wykluczając istnienia rzeczywistości będących poza tą przeżywaną i obserwowaną przez nas na co dzień. Nie poprzestawajmy na zachwycie i wdzięczności za to co już mamy, ale ulepijmy sobie coraz doskonalsze formy, by stać się rzeczywiście autonomicznymi, niezależnymi, a słowo „człowiek” wypełniło pełnym szacunku zdziwieniem najdalsze zakątki nieogarnionego Universum.

Z drugiej strony chciałoby się powiedzieć: po co, kiedy jakoś tam leci? No właśnie! Ciekawe, która to z części mózgu bierze na siebie odpowiedzialność za namawianie nas do takich postaw? □

• ***Ateizm też jest zagrożony przyptywami niewiary.***

• ***Anioł kusi kobietami dobrymi, a diabeł pięknymi.***

Józef Maciej Rośliński

Sprzątanie umysłu

Powieść to jeden z rodzajów narracji, bo „wszystko jest narracją” (por.: Terry Pratchett, Ian Stewart, Jack Cohen, Świat Dysku). Również zdanie lub pytanie „jakie życie – taka śmierć”. Wydaje się rzeczą oczywistą, że aby napisać coś sensownego, inaczej: coś takiego, co ludzie będą chcieli czytać, trzeba mieć jakąś ciekawą, atrakcyjną dla ludzi opowieść. Pisarze są właśnie tym podgatunkiem, który posiada takie atrakcyjne historie. Zdobywa je, wychwytuje ciekawostki, dobarwia, względnie nawet wymyśla. Jedną z takich działek do twórczego zagospodarowania są ludzkie kompleksy.

Ludzkie kompleksy

Ludzie dzielą się na tych, którzy obywają się bez czytania oraz na takich, którzy bez czytania sobie nie radzą. Pośrodku spotyka się jeszcze i takich, którzy nie mogą się zdecydować na wybór lektury. Czego jednak potrzebują wszyscy ludzie? Bez czego nikt nie może się obejść? Odpowiedź będzie prosta i dla każdego zrozumiała. Nikt nie może się obejść bez życia. No i – niestety – potrzebujemy też kiedyś umrzeć. Skoro musimy. Nawet bardziej musimy umrzeć, niż żyć. Życie bowiem jest kruche, niepewne. Śmierć za to jest całkiem pewna, choć zazwyczaj dużo mniej przyjemna, niż życie – nawet to byle jakie.

Powyższe refleksje też są jakąś narracją. Do niej dodajmy jeszcze hipotezę, że mamy potrzebę umrzeć (umierać) raz-dwa, a do tego i umierać możliwie godnie. W tej ostatniej kwestii, czyli możliwości spełnienia się owego powszechnego pragnienia, ażeby nie umierać długo i w straszliwych mękach, odnotowujemy w ostatnich latach znaczący postęp. Środki przeciwbólowe są w miarę dostępne, a sposoby ich skutecznego stosowania – dotyczy to szczególnie ciężkich chorób przewlekłych i stanów,

kiedy ból dominuje nad wszystkim – coraz doskonalsze.

Ale są też i inne czynniki potęgujące dyskomfort w sytuacjach terminalnych. Takie np. poczucie nieuchronności, konieczności, a nawet nierzadko wartości samego cierpienia. Na przykład dla otrzymania za nie rekompensaty w spodziewanym życiu przyszłym. Normalnie po śmierci się nie żyje, lecz kto by się tu – czy tam – liczył z normalnością... Ten, kto naprawdę cierpi, odchodzi od zmysłów i oczekuje przede wszystkim ustania tej męczarni. Jeśli jest wierzącym – w potocznym tego słowa znaczeniu – przeważnie nie godzi się z tłumaczeniem, że to jego cierpienie jest zrządzone przez Istotę Wyższą dla dobra jego lub innych ludzi. Wielu w takich terminalnych sytuacjach traci wiarę w ów sens cierpienia i prosi o ułatwienie „przejścia” do zasłużonego szczęścia wiecznego, czyli o pomoc w zakończeniu męki, gdy już przepisane – i bezpieczne – dawki środków uśmierzających ból nie dają ukojenia.

Podobnie uciążliwa jest dla człowieka znajdującego się w sytuacji terminalnej świadomość – wszak mimo okrutnych tortur, sprawianych najczęściej przez nowotwór, myśli on czy ona także o swoich bliskich – że będzie im (zwłaszcza tym

naprawdę bliskim) tej osoby bardzo brakować. W takiej sytuacji, bliskiej paniki (kiedy śmiertelnie chory człowiek musi się rozstać z ukochaną osobą, w szczególności zaś ze swoim dzieckiem lub dziećmi), stosunkowo łatwo docierają do niego sugestie, że to jest rozstanie tylko na chwilę, bo cóż to znaczy nawet 50 lat wobec wieczności... Dlatego też, jak sądzę, wielu umierających przystaje nawet na odprawianie guseł (zwanych obrzędami pogrzebowymi, inaczej – egzekwiami) przy ich „ostatnim pożegnaniu” (przed „ponownym przywitaniem”), od których to praktyk wielu z nich odżegnywało się jak mogło przez całe życie przed nastaniem owej „pożegnalnej” męki.

Jeszcze gorsze jest jednak moim zdaniem to, że w społeczeństwie, w którym powtarza się slogan „wola umierającego jest święta”, łamie się tę sentencję kierując się „wyższą racją”, rzekomym „dobrem” zmarłego. Tak było choćby w przypadku Piotra Skrzyneckiego, którego życzeniem było spocząć na cmentarzu żydowskim w Łodzi obok jego matki, a tymczasem „poległ” w Krakowie, z obrzędkiem katolickim. Ot, kompleksy narodowe...

Nie poznane i niepoznawalne

Do zdudzenia będę powtarzał, że czym innym jest – z całą pewnością – kategoria rzeczy nie poznanych (dotąd), a czym innym jest „niepoznawalne” (bo może i nie ma czegoś takiego).

O tym drugim – tj. „niepoznawalnym” – wiemy nieporównanie mniej niż o pierwszym, czyli nie poznanym. Na pozór wydaje się, że tak samo niczego nie wiemy o nie poznanym, jak o niepoznawalnym. Tymczasem jest tu różnica i to zasadnicza. Nie poznaliśmy na przykład dotąd – jasno i wyraźnie, jak to mawiał Kartezjusz – struktury tak zwanej materii ciemnej, ale jakoś dochodzimy do tej

zagadkowej substancji, która daje znać o sobie swoją masą. Jak na razie wynika ona jedynie z obliczeń, lecz już nieraz tak bywało, że obserwacje i inne doświadczenia potwierdzały istnienie tego, co pierwiej jawiło się tylko w rachunkach.

Czyli podchodzimy do tego czegoś jak do materii, a więc jak do czegoś, co daje się zważyć i zmierzyć innymi parametrami. Astronomowie pospołu z matematykami i fizykami nie opuszczają rąk i nie spuszczaają głów, ale poszukują parametrów, które pasowałyby do tego czegoś. Nie wykluczone, że takowe kiedyś znajdą. Jak wiadomo, nie wahają się oni sięgać po paradoksalne związki (przykładem teoria kwantów) oraz formułować zawrotnych hipotez, jak np. o daleko więcej wymiarowej przestrzeni, niż zwykło się przyjmować na dzisiejszy zdrowy rozsądek. Pamiętamy, że zdrowy rozsądek kwestionowali mędrcy już w starożytności – tak było m. in. z oczywistością wędrówki słońca po nieboskłonie.

Żaden poważny kosmolog nie powie zatem dzisiaj, że nie ma po co zajmować się tym czymś, co się nazywa roboczo ciemną materią, ponieważ jest niepoznawalna. Tak jak biolog czy neurolog nie mówi o niepoznawalności mózgu ludzkiego i jego funkcji dotychczas nie poznanych w pełni.

Świat

Czy mógłby istnieć świat bez róż? Mógłby. Byłby – w naszym rozumieniu – nieco uboższy, lecz róż nie są jego warunkiem, jak się to uczenie mówi, konstytutywnym, albo *conditio sine qua non* (warunkiem koniecznym, a dosłownie: warunkiem, bez którego nie).

Czy mógłby istnieć świat bez kobiet? Wydaje się, że nie mógłby. A to dlaczego? Dlatego, że świat jest konstruktem myślowym ludzi. Inaczej mówiąc jest pojęciem.

Nie kur, świń, niedźwiedzi czy nawet małą, lecz ludzi. Nie wykluczam przy tym, że tamte gatunki – w tym kozy – również mają jakieś swoje światy, czyli wyobrażenia o swoim otoczeniu oraz pewną samoświadomość. Podobno słonie są pod tym względem znacznie zaawansowane, w porównaniu np. z bykami. Przeprowadzono ponoć taki eksperyment (czytałem o tym w „Świecie wiedzy”), że namalowano słoniowi na czole krzyżyk i postawiono przed nim lustro, a on sięgnął swoją trąbą do swojego czoła, nie zaś do odbicia w lustrze, jak to czynią mniej rozgarnięte małpy. Nie wykluczone też, że inne od naszego gatunki mogą nawet śnić o „lepszym świecie”. Prawdopodobnie jednak będzie to świat zgoła odmienny od naszego, w którym – gdyby nie było kobiet – w ogóle nie byłoby komu śnić, między innymi o lepszym świecie, czy roić sobie o zaświatach. Tak więc pojęcie „świat” zakłada nieuchronność istnienia kobiet. Mężczyzn zresztą też. Chociaż w pewnych koncepcjach świata bywają oni pomijani.

Do tego kobiety z racji swojej urody są tak bliskie różom, że z powodzeniem by je zastępowały, gdyby te róże przypadkiem wymarły. Kolce też mają, i owszem, ale jeżeli na nie (tj. kolce) uważać, bywają poza tym całkiem miłe w dotyku, jak to ktoś świetnie ujął jakiś czas przede mną. A mężczyźni? Jakież kolce niby mają zazwyczaj, lecz co poza tym?

Mądry głupiec?

Pewna tradycja mentalna przechowuje, a co więcej hołubi przeświadczenie o czymś, co się zowie uczoną niewiedzą (*docta ignorantia*). Tymczasem w zwykłym pojmowaniu uczony różni się od niedouczzonego tym, że wie i rozumie więcej od tego drugiego, który – jak to się ktoś ironicznie wyraził – miał do szkoły pod górkę. Stąd to się bierze, że mędracy i uczeni

od dawien dawna uważają (a ich uczniowie częstokroć się z nimi zgadzają), że lepiej – jednak – być mądrym niż głupim. Mądrość bowiem, jak to się pojmuje także w potocznym rozumieniu (głupców w tym momencie wyłączam z inteligencji potocznej), daje realną szansę unikania potknięć. W tytułowym sformułowaniu zaś jest wewnętrzna sprzeczność, przeze mnie prowokacyjnie zamierzona. Jako środek literacki nazywa się to oksymoron. Tak jak określenia „sucha woda” czy „zimny ogień”.

Gwarancji powodzenia i życia bez wypadków mądrość jednak niestety nie daje. Zapewne z tego właśnie powodu wielu ludzi uważa, że głupiemu jest źle. Ci, którzy tak sądzą, nie stanowią na szczęście – to z kolei moje zdanie – znacznej większości, a jedynie (ale i to o wiele za dużo) tworzą blisko połowę ludzkiej populacji. To oni – nawiasem mówiąc – nie zdają obie sprawy z tego, że mówienie o „głupich zwierzętach” i zezwierzęceniu nie jest właściwe.

Od starożytności kolportowana jest np. bajka o tym, jak to w pewnej rodzinie było trzech synów (*fuit olim senex cui tres filii erant*): dwu mądrych i jeden głupi (w rosyjskiej wersji – *durák*). Ci mądrzy osiągnęli dostatek i pozakładali własne rodziny, a temu głupiemu przypadła opieka nad starymi rodzicami. Sprawdzał się w tym względzie mimo wszystko i też jakoś tam wyszedł na swoje. Taki w każdym razie jest morał owej bajki.

Ale jak mamy traktować takiego kogoś, kto – jak się to pospolicie określa dosadnie – różnie głupa i też wychodzi na swoje? Czasem wprawdzie najpierw wchodzi na cudze pole, co mu z reguły uchodzi płazem, a niekiedy nawet sięga po najwyższe stanowiska. I je zdobywa. Tak się bowiem przyjęło w kulturowej tradycji, którą wielu się chlubi (na Wschodzie i na Zachodzie), że pobłaża się temu

zjawisku. A następnie się ubolewa, że przez tę właśnie pobłażliwość okazywaną takim spryciarzom wiele rzeczy w Państwie – delikatnie mówiąc – kuleje. Ten z kolei, kto sprawia wrażenie mądrego, nader często „ma przechlapane”. Choć wydawałoby się, że powinien górować nad cwaniakiem.

Pierwszy nie odpowie na to pytanie, gdyż gra swoją rolę, która przynosi mu różnorakie profity. Poza tym wie dobrze, iż odwaga uchodzenia za mądrego kosztuje nazbyt wiele. Sokratesa, uznanego – jakoby – przez najwyższy autorytet religijny, tj. Wyrocznię Apollina w Delfach, za najmądrszego z Greków, skazał sąd powszechny na śmierć pod zarzutem naruszenia stabilności ideowo-moralnej Państwa Ateńskiego, gwarantowanej przez instytucje religijne. On zaś istotnie pokpiwał, jak zaświadcza jego uczeń Platon, z ograniczoności umysłowej kapłanów. Sam Platon zaś brał się parokrotnie za doradztwo polityczne, uważając, że tylko filozofowie mają jakie takie kwalifikacje do rządzenia. Oni bowiem rozumieją i trzymają się tego, że zło nie może przynosić korzyści. Ledwo przy tym uszedł z życiem.

Czyżby zatem tylko udawanie głupca było naprawdę mądre? Jako bezpieczne i korzystne? Nieźle zabrnęliśmy... Z tą tradycją, która mówi, że mądrość ludzka jest głupotą w oczach Boga (*spodobalo się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących; Czyż nie uczynił Bóg głupstwem mądrości świata?* – 1Kor 20 i 21).

Jak więc to można posprzątać? Ów pojęciowy bałagan, który sprawia, że udawanie głupca jest korzystne? A w dodatku uświęcone Tradycją!

Są tacy, którzy głoszą: „siał, siał, siał”. A oni zniwują zasiewy. I tacy, którzy mówią: poukladać sobie w głowie; a jak komu starczy, to i paru innym

ludziom, zwłaszcza młodym. Bo starszym już trudno pomóc pod tym względem. Dobrze też przypominać, że kto sieje wiatr – zbierze burzę (również z Pisma św.). Albo – jeśli ktoś nie może obejść się bez takiego czy innego kultu religijnego – przytaczać myśli Jana Szkota Eriugeny, że „prawdziwa filozofia jest prawdziwą religią i na odwrót: prawdziwa religia jest prawdziwą filozofią”, oraz że „jedyną drogą prowadzącą człowieka do nieba jest filozofia” (*vera philosophia vera religio est conversimque: vera religio vera philosophia est; nemo intrat in caelum nisi per philosophiam*). Nietrudno zauważyć, że w łonie kadr Kościoła Katolickiego pojawiają się niekiedy tacy kapłani, którym to podejście Eriugeny jest dość bliskie (ks. Wacław Hryniewicz, ks. Józef Tischner).

Wynika z tego, że opozycja wiary i filozofii, z którą mieli do czynienia nasi przodkowie i z którą pomimo pewnych pozorów współistnienia mamy w gruncie rzeczy do czynienia i dzisiaj, jest problemem sztucznie wznieconym i rozdmuchiwany. Po co? Może po to, by sprytni „mędracy” mogli bezkarnie wykorzystywać tę sytuację, że wielu ludzi jest uczulonych na „mędrkowanie” filozofów, a nawet uczonych w ogóle. Wykorzystywać na wielką skalę. Zarówno drażliwość w tym względzie tych uboższych duchem, jak i tych lepiej duchowo wyposażonych; lecz nie dość bezwzględnych, aby ten proceder powściągnąć, względnie przyłączyć się do jego uprawiania.

Moje hasło brzmi zatem: sprzątać! W posprzątanym domu łatwiej utrzymać higienę i jest w nim mniej roztoczy wywołujących alergię. □

• **Nierealne niebo nieustannie zмага się z realnym piekłem.**

Józef Maciej Roślicki

PIOTR AUGUSTYNEK

FABRYKA ŚRUBEK

I znowu „Zapachniało Orwellem”. Katastrofizm? Jeremiady belfra na emeryturze? Nic podobnego. Po prostu mam kilka wątpliwości na temat planowanej (nie do końca, fragmentarycznie i po amator-sku) tzw. reformy systemu edukacji.

Pani Anna Zalewska, ministrująca z woli Prezesa, z jednej strony budzi mój gniew swoją dezynwolturą, bezrefleksyjnością i bezczelnością, a z drugiej śmiech. Dlaczego używam tak ostrych sformułowań?

Ano, z powodu „szeregu szerokich konsultacji społecznych”. Tych słów używa bowiem p. Zalewska, usiłując nam wmówić, że reforma edukacji to wynik nacisku społeczeństwa, a także owych nieszczęsnych konsultacji. Których nie było. Konia z rzędem temu, kto przyzna się, że uczestniczył w jakiegokolwiek z form zasięgania opinii publicznej na temat szkoły. Odszczekam publicznie, jeżeli ktoś taki się pojawi.

Jak zatem owe konsultacje wyglądały? Bardzo prosto, by nie rzec: prostacko. Przecież nie można inaczej nazwać urzędowych spotkań przedstawicieli władz centralnych z samorządowcami, wojewodami, kuratorami, wybranymi dyrektorami szkół i partyjnym aktywem partii sprawującej władzę.

Niech mi ktoś pokaże takiego wojewodę, kuratora, czy dyrektora szkoły, który wstanie i publicznie powie, że projekt tzw. reformy jest nieprzygotowany, nieprofesjonalny, drogi, niepotrzebny, a zatem **POLITYCZNY**.

Mam kilku znajomych samorządowców (o zgoła prawicowych poglądach), którzy chwytają się za głowę i pytają: kto tu zwariował? Skąd na to brać pieniądze?

Myślę, że nikt tu nie zwariował. Pomysłodawcy reformy wiedzą doskonale, że przyszłych, fanatycznych wyborców trzeba sobie wychować. Już teraz. Na etapie przedszkola.

A sami zainteresowani, a rodzice? A kto ich o to zapytał? Przecież, cytując klasyka, „ciemny lud wszystko kupi”.

Zreformowana edukacja ma zatem służyć nie dzieciom, społecznościom lokalnym, nie państwu w ogólności, lecz władzy. Władzy, która tak często powołuje się na suwerena, a jednocześnie ma go w głębokiej pogardzie.

Trzeba postawić kilka kluczowych pytań o istotę i sens „reformy edukacji narodowej”, a więc:

Kogo chcemy wychować? Jak rozumieć pojęcie społeczeństwa, obywatela, świadomego uczestnictwa we współtworzeniu nowoczesnego państwa? Co oznacza słowo „patriotyzm”?

Zadałem pytania i już mi smutno.

Wszystkie te pojęcia nasi obecni (i poprzedni też) władcy rozumieją tak, jak rozumieli je dziewiętnastowieczni piewcy patriotyzmu barykadowego. Powstanie, walka, konspiracja, umieranie za miliony, mesjanizm narodowy, przedmurze chrześcijaństwa... Znamy to? Znamy. I co? I nic.

Nikt jakoś nie chce przyjąć do wiadomości, że barykadowo-powstańczy

patriotyzm źle skutkuje w dzisiejszej rzeczywistości. Przypominam pieśń bohaterów „Dziadów”, uwięzionych w klasztorze bazylianów. Jaki był refren: „ Tak, zemsta, zemsta, zemsta na wroga / Bogiem lub choćby mimo Boga”. Etos zemsty ponad wszystko (choćby chwilowo nie było na kim się mścić), etos nie spokojnej, zdyscyplinowanej, twórczej pracy, lecz etos powszechnego burzenia, bo złe, obce, wrogie... Ten etos w czasach carskiej, austro-węgierskiej i pruskiej opresji miał jakiś sens. Ale dzisiaj? Nawet, jeżeli potraktujemy romantyczny patriotyzm życzliwie, to musimy sobie zdać sprawę z tego, że TO JUŻ BYŁO. Było, a świat podąża dalej, zmienia się, a my ciągle tkwimy w okopach, dzierżąc w zaciśniętych dłoniach porzewiałe szable. A nad głowami przelatują nam najnowocześniejsze wytwory techniki zbrojeniowej.

Żeby nam przypadkiem nie przeszła ochota tkwić tak i tkwić w tych okopach, to co chwilę podrzuca się nowego wroga. Żydzi, gender, Ruskie, islamiści, LGBT, Unia, KOD, ruchy feministyczne itd. Do wyboru, do koloru. Niestety, nasz patriotyzm bez wroga na horyzoncie jest marniętki, słabiutki, żaden. Bolesną miłośność dzielnie ratują dziarscy, ogoleni na łyso młodzieńcy, i co oczywiste – kibole. Tak, na tych patriotów zawsze można liczyć. A że na horyzoncie wroga nie widać? Nie szkodzi, dobierze się spośród swoich. Zawsze też można postraszyć wrogiem zewnętrznym. Wygodniej. A pomyśleć, że największy wróg siedzi w naszej bylejakości, niechęci do wiedzy, pogardzie dla rozumu? Też coś!

A gdyby tak pomyśleć, że prawdziwy patriota to ten, który nie śmieci, nie łamie przepisów ruchu drogowego, sprzęta kupy po swoim psie, nie jeździ tramwajem na gapę i płaci uczciwie podatki? Też coś!

„Szlachta na koń siądzie, / Ja z synowcem na czele / I jakoś to będzie.” Tak bajdurzył w „Panu Tadeuszu” Sędzia, myśląc o wywołaniu powstania na Litwie. Nawet wieszcz Adam wykpił taką postawę. „Jakoś” nie było, a więc tym bardziej nie będzie w przyszłości.

Na pytanie o to, kogo chcemy wychować, odpowiadamy starymi schematami romantycznych lektur, upolitycznionym nauczaniem historii, bezkrytycznym podporządkowaniem wobec żądań hierarchii kościelnej.

A co na to uczniowie? Oni są już gdzie indziej. Obowiązek szkolny traktują jako nieatrakcyjną konieczność. Widząc chamską młóckę zamiast polityki, opluwanie postaci historycznych tylko ze względu na różnice ideowe, stawianie pomników szpiegom, uczniowie z głowami pochylonymi nad wyświetlaczami tableatów i smartfonów poszukują rzeczywistości zastępczej. Wartości zastępczych też. I znajdują je, niekoniecznie z pożytkiem.

Umacniające się podziały na „naszych” i „obcych”, na „prawdziwych” Polaków i tych „gorszego sortu” to już prawie banał. „My” i „Oni” pozjadamy się nawzajem. W imię prawdziwej Polski, w imię Boga, wartości, prawdy i tych pojęć, które brzmią nawet sympatycznie, ale nie u nas.

Można odnieść wrażenie, że reforma edukacji ma jednak głębszy sens. Jaki? Otóż nasi władcy traktują system edukacji jako swoistą fabrykę śrubek. Fabrykę przyszłych wyznawców, pardon – wyborców. Oto wystarczy wziąć surowiec (siedmiolatka), włożyć w otwór z napisem „start”, nacisnąć przycisk, a w otworze z napisem „produkt” będziemy mieli wymarzony efekt. Śrubkę. Do tego jeszcze smar katolicko-narodowy i już. Tylko Orwell w zaświatach chichocze. □

IGNACY S. FIUT

Zwroty artystyczne i biograficzne poetów

Na gruzach kolejnych, wykreowanych światów poetyckich, autorzy ci budują kolejne swoje wizje rzeczywistości, które w sposób zasadniczo odmienny sytuują ich kolejne konteksty twórcze. Ich marzeniem jest jakby odrodzenie się na nowo przez własny wysiłek twórczy. Performacjom artystycznym tego typu zachowań nie tylko poetów, ale i innych artystów, towarzyszą próby przewartościowania dotychczas preferowanych systemów oraz hierarchii wartości, ale i zrozumienia miejsca człowieka w nieustannie zmieniającym się świecie ponowoczesnym. Wiąże się to zawsze z próbami wglądu w naturę jego podstawy bytowania. Tego typu zwroty mają niejednokrotnie podłoże etniczne i geograficzne – np. zmiana miejsca zamieszkania, przebudowa dotychczasowego środowiska życia, ale i emigracja zewnętrzna oraz wewnętrzna. Zjawisko to nie jest zupełnie nowe, ale w obecnych czasach staje się coraz bardziej widoczne szczególnie w przypadku zderzenia się i mieszania różnych kultur oraz cywilizacji. To wszystko odzwierciedlają wszystkie sztuki piękne, w tym również proza i poezja. Właśnie w tej perspektywie przeanalizujemy twórczość trzech poetów: **Stanisława Franczaka, Adama Lewandowskiego i Janusza Szota**, którzy podążają drogą przysłowiowego *homo viator*.

Ten kolejny już tomik poezji **Stanisława Franczaka** został wydany pod zastanawiającym tytułem, czyli „na łące kwitną wiersze”. Na pierwszy rzut oka można sądzić, że jest to poezja liryczna

o rustykalnym rodowodzie. Niestety – tak nie jest, choć niewtajemniczonemu czytelnikowi mogłoby się tak wydawać. Zebrane tu wiersze powstały z inspiracji kołatających się w głębokich pokładach pamięci autora wspomnień, przeżyć, które nigdy nie straciły świeżości i atrakcyjności dla poety, a z latami stawały się coraz bardziej powszednim chlebem jego życia. Mówiąc prościej – tego świata rzeczywiście już nie ma, ale żyje w sercu i umyśle poety, który w dojrzałym wieku przywołuje go do bytu z doświadczeń dzieciennych i młodzieńczych, resetowanych kolejnymi odwiedzinami rodziny i przyjaciół w Bieńkówce rozłożonej u podnóża Babiej Góry, królującej nad Gorcami w dorzeczu Skawy. W wierszu otwierającym tę książkę pt. „spowiedź” autor pisze: „W moich żyłach płyną / górskie potoki i krzyczy jastrząb / zawsze głodny raniący niebo gdy / skrzydłami przecina horyzont / i podtrzymuje chmury nad ziemią // echo snów pasterzy niebieskich/odbija się we mnie i powtarza / lament owiec czekających na udój // w głowie szumi wieczór i pijane lasy tańczą zbójnickiego a księżyc / gra na skrzypkach smętną melodię // I wiersze rosną na rozstajach myśli / zielonych łąk jak daleki sen”. Franczak dokumentuje więc te obrazy słowem w formie wierszowanych narracji i idealizuje ten odeszły na zawsze świat. Na jego gruzach buduje własne siedlisko wieczności, do którego podąża drogą tworzonej serii wierszy. Właściwie mamy tu do czynienia nie ze zwrotem nie tylko geopoetyckim,

ale i metafizycznym, celem których jest próba przewycięzania małości jednostkowego bytu człowieka i wstępowanie na drogę budowanego nowego porządku transcendentalnego, w którym poeta mógłby oprzeć się nieubłagalnemu upływowi czasu. W wierszu pt. „odliczanie czasu” dowiadujemy się, że: „Już czas wziąć błady dzień na / barki i pobiec z nim wprost przed / siebie tam gdzie czeka nas / szklana wielka niewiadoma // tylko // zegar na stole zdyszany / i odlicza nasz własny czas życia / potwierdzając notarialnie dokument / czerwoną okrągłą pieczęcią”.

Innym ważnym elementem dającym wręcz bajeczny wymiar poezji Franczaka jest przydawanie istotności duchowej światu zwierząt i roślin, a nawet starym chatom, obejściom gospodarczym, ale i lasom, strumykom, rzekom i jeziorom. Dobrze ilustruje tę specyfikę liryczno-antropomorficzną poezji Franczaka utwór pt. „o świecie”, gdzie czytamy: „o świecie krzyk słońca / budzi drzewa które / przecierają zielone oczy / i uczą się alfabetu dnia / ptaki siadają na ich rękach / i poprawiają swe gniazda // zroszone liście oddychają / w słońcu pełnymi zdaniem / wiatr czesze ich sny/ układając modne fryzury // drzewa przeglądają się / w niebieskim lustrze i / poprawiają wróżby / pogody na cały dzień”. W tym planie jego bajeczności jest także przywoływaniem do życia ludzi w tym idealizowanym świecie, którzy w realnym życiu uchodzili za odmieńców, bajarzy, czyli ludzie niekiedy postrzegali ich jako wcielenia różnych lokalnych proroków, znachorów wieszczących właśnie istnienie owych alternatywnych światów duchowych, włącznie z tym idealnym, posiadającym boskie wymiary zgodnie z ludową wyobraźnią. Ważną w wymiarze etnicznym tej poezji jest metafora targu, kościoła, kapliczki, doroczných świąt

i towarzyszących im obyczajów, które właściwie można we fragmentach odnaleźć dzisiaj tylko w skansenach. W wierszu pt. „Walek z grapy” czytamy więc: „garbaty Walek dzwoni codziennie / na nieszpory i anioł pański / przyjaźni się z czarnymi wronami / zamieszkałymi na wieży a pająkom / łapie ćmy i tłuste muchy / myszom przynosi ofiarę ze zboża // ludzie go nie rozumieją / chodzi taki mamrocze w koło / niemy i głuchy jak kamień/rozmawia tylko z wiatrem i / drzewami słuchając gwiazd nocą / wędruje we śnie po całym świecie // garbaty Walek jest wybitnym poetą”.

Chyba jednak najważniejsza metaforą w tym nieustającym nawrocie i doświadczeniu upływu czasu jest łąka rozciągająca się między polami uprawnymi, wiklinami i lasami, ale i jej dynamika vegetacyjna przez cztery pory roku. Na przełomie wiosny i lata eksploduje kwieciami i pełnią życia, wieszcząc „kolorową rewolucję”, która – niestety – upada jesienią za sprawą kosiarzy wprowadzających harmonię w nieustającym wariabilizmie „powstawania, rozkwitu i nieubłagalnego giniecia”. W utworze pt. „dojrzewanie rewolucji” dowiadujemy się, że „polna łąka odżywa znów we mnie / i wybuchła wszystkimi kolorami / kwiaty i zioła wiecują od rana / policja owadów inwigiluje kwiaty / zielony tłum traw wykrzykuje hasła / które w ukryciu pisze wiatr na niebie / krople rosy jak łzy wybuchną za chwilę // kosiarze ostrzą kosy, by stłumić rewolucję”. W ten sposób poeta poniekąd zbliża się do dyskursu poetyckiego Bolesława Leśmiana, który tak skutecznie i przekonująco pokazał głębokie związki fizyczności świata i człowieka z jego metafizyczną i transcendentną ich duchową podstawą bytową. W utworze zamykającym ten tom poeta jakby zapisuje własny testament poetycki, o którym niejednokrotnie wspominał we

wcześniejszych wierszach, kiedy wyra-
stały na łanach jego osobistego świata,
który pewnie chce zabrać z sobą do wiecz-
ności. W „zimowej bajce” pisze: „na na-
gich gałęziach jabłoni / wiszą srebrne so-
ple myśli / powieszono jeszcze jesienną
porą / które słońce czyta przez okulary
// wróble zbierają pracowicie / pojedyn-
cze słowa, które czasem / spadają na mar-
twą ziemię // układają z nich wiersze o /
dojrzałych kłosach zboża i lipcu / pełnym
koszy wspomnień”.

Na początku tego roku ukazał się ósmy
tom wierszy wielkopolskiego poety, ści-
śle związanego ze Śremem – **Adama Le-
wandowskiego**, noszący tytuł – „Jeszcze
jestem w drodze...”. Na stronach tego
tomu poeta krok po kroku uświadamia
sobie, że życie i twórczość poetycka, bę-
dąca w jakimś stopniu metaforą własnej
egzystencji – to bez wątpienia „droga”,
na której jest „jeszcze” wiele do zrobie-
nia: do przysłowiowego zdziałania. Są-
dzi, że przecież parając się wierszem sta-
je się „słowem”, co potrafi zmieniać sens
kolejnych dni. W utworze pt. „...jestem
...” pisze: „Jestem słowem / co potra-
fi zmienić dzień. / Jestem myślą / prze-
nikającą rozum innych. / Jestem wzro-
kiem / co widzi odmienności. // Jestem
przy Tobie / jak kaptcie w sypialni. / Je-
stem jak noga / co wchodzi między drzwi.
/ Jestem jak sen przewidywany dniami /
(...) I tylko rozum mówi: / Co zrobić, by
nie / zagubić ważnych chwil!”. Nie trud-
no zauważyć, że jego „ego” uprzytamnia
sobie ową płataninę codzienności, w któ-
rą ciągle i mimowolnie jest wikłany, ale
wie również i to, że aby sensownie eg-
zystować musi być koneserem znaczeń
tych chwil życia, bez których straciłoby
ono sens. Sens dla Lewandowskiego nie
jest czymś gotowym, zastanym, danym,
ale wymaga nieustającej i cierpliwej za-
pobiegliwości i pielęgnacji duchowej, by
był tym istotnym depozytem jego życia,

przez które przyszło mu wędrować w do-
czesności. Dla poety ze Śremu mowa –
jego starsza siostra – często go strofu-
je i napęlnia bojaźnią, nawet w chwilach
dobrych i roztropnych, oraz przypomina,
by nigdy nie był pewny, czy czasem nie
powiedział za wiele, nawet wtedy, gdy
mówi tyle ile trzeba.

Po swej drodze brukowanej wiers-
zem autor cierpliwie więc stąpa i uważ-
nie się rozgląda. Czasami podnosi głowę,
prze do celu, próbuje uchylić nieba dla
mądrych, zlicza ważne chwile życzliwo-
ści innych. Często zadaje pytanie o swo-
ją przyszłość pod kopułą nieba i uważ-
nie śledzi zawartość ludzkich spojrzeń.
Odkrywa przy tym, że jego dusza bywa
łamliva i potrzebuje w krytycznych mo-
mentach słownego wsparcia, przybli-
żającego mu prawdę o jego miłości i jej
wzajemności. W tych głęboko refleksyj-
nych sytuacjach odkrywa bezwzględny
czas oplatający każdy jego dzień istnie-
nia. Osaczany siecią spojrzeń, dotyków,
kolorów, które często dodają mu energii
i mocy istnienia, cierpliwie prze do przo-
du. One jakby zakwitają i pomagają mu
wypędzać z jego duszy „wyobraźnię zła”
i przyzwolenie na nie. Zdaje sobie jed-
nak sprawę, że najwierniejszą towarzy-
ską jego życia, nieodstępującą go na krok,
jest samotność, a wtedy wie już, że może
go pocieszyć owa aktorska miłość, chwi-
lowo przekonując go, że zawsze jest jakiś
ktoś z nim. Przyznaje się, że bywa „utra-
pieniem dla innych”, często stając się
człowiekiem banalnie nieodpowiedzial-
nym, ale konstatuje pomimo wszystko,
że w życiu nawet takie bycie ma wartość,
bo pewnie zawsze czegoś uczy i o czymś
z przypomina. W wierszu – „Śmierć” kon-
statuje: „Wiem o przegranej / która oczy-
ści moje sumienie / jak skasowane imio-
na w komórce / jak słowa, których przez
prawie / setkę / lat nie wypowiedzia-
łem, / a które teraz powtarzam. / Wierzę

w istotę wypowiedzianych / w tym czasie wartych myśli / bardziej od moich uniwersyteckich rozmyślań!”. Podążając tą drogą osobistą, ale i kołując jak dron między reżimem życia osobistego i zawodowym zarządzaniem instytucjami, poeta uwielbia epatować się miłością dwojga ludzi, przyglądać się naturze, która ciągle próbuje galopować przed siebie, ukazując owe chwile „pomiędzy”, czyli „intrygę wieczoru” między dniem a wymarzonym snem, spełniającą się na „marginesie poranka”. Przygląda się także z uwagą losowi ludzi „żyjących z prawdy” i „rozumiejących ciszę”, a może nawet jej „gromobicie”. Często staje przed lustrem, by wzmocnić tę pamięć o „chwilach zapomnianych”, rozbudzić „innovacyjną szarość”, przy okazji oswoić ukazującą się za nią otchłań, co w jakiś sposób uwalnia go od narcystycznych skłonności i zwraca ku życiu między ludźmi, ale i usilnego poszukiwania nowej wersji rzeczywistości dla swojego życia. Dokonuje ciekawego wglądu w komunikowanie internetowe, gdzie hipertekst staje się nową areną słowa, ekspozycją prawie idealnego świata kobiecości, żywiąc obawy o los każdej pojawiającej się tam wiadomości. Podziwia także piękno i doskonałość muzycznych kompozycji, czyniących codzienność czymś niepowtarzalnym, wzbogacających sztuk naszych myśli, podobnie jak dobra książka z zawartymi w niej mądrościami.

Wielokrotnie powraca do marzeń, bez których życie staje się „miękkie”, zaś ich urzeczywistnianie zawsze dodaje mu skrzydeł. Píše nawet w jednym z utworów, że „Pół-marzenia zrealizowane to całe życie zyskane”. Pochyla się kolejny raz nad miłością ze wszystkimi jej zaletami i niedogodnościami, których nie zastąpi nawet najbardziej oszałamiające doświadczenie. To ona, podobnie jak książka i serfowanie po cyberprzestrzeni,

ma tę siłę witalną, odsyłającą poetę w inne, bardziej subtelne i idealne światy. Marząc o owych światach idealnych, przypomina podobne marzenia Zbigniewa Herberta. Postrzega naszą rzeczywistość tak, jakby była widziana przez okna „pociągu pospiesznego”. Obserwacja ta rodzi z kolei u niego wyraźne poczucie „utraconego czasu”, o którym tak wiele pisał Marcel Proust. Zaczyna rozumieć, że ten widok z lotu ptaka zawsze grozi człowiekowi „ikaryjską katastrofą”, co niejako wyjaśnia mu los samego człowieka i jego zmysłowego świata.

W końcowych częściach tomiku Lewandowski, jak mityczny Syzyf, analizuje własną drogę „ku szczytom”, widzi jej słabości cielesne i duchowe, o czym wielokrotnie sygnalizuje mu przysłowiowe lustro i inni ludzie. Zaczyna bardziej rozumieć absurdalność codzienności, ale już wie, że jest to konieczność przenikająca istnienie. Ona podpowiada mu, że aby być, trzeba ciągle „być w drodze”, odkrywać ów absurd i konsekwentnie go przewycięzać w granicach rozsądku. W tym bowiem postępowaniu tkwi sens „bycia człowiekiem”, które wyraża się odwagą „każdego dnia”, pozwalającą mu chwycić te wartościowe chwile, ale i wstrzymywać „psie hordy” grasujące wokół nas. Jedną z kluczowych przesłanek i treści tych wartościowych chwil jest zawsze miłość osoby bliskiej – jej przysłowiowa, nawet milcząca obecność na dobre i złe. Bez niej bowiem odwaga może przerodzić się w szaleństwo, nawet wtedy, gdy przybiera jedynie formę wzburzonych myśli.

Oglądając swoją drogę „bycia-w-świecie” poeta dalej marzy o doświadczeniu nadprzyrodzonego światła każdego poranka. Nie żałuje już jakiegokolwiek „utraconego czasu”, bo coraz bardziej jest przekonany, że po prostu „jest” w swym jestestwie, gdyż otaczają

go stworzone przez niego „rzeczy namacalne”. Notorycznie jednak marzy dalej i spogląda z nadzieją w przyszłość. Chce bowiem stworzyć ogród przepiękny „prostotą przyjaźni”, w którym gospodaruje zwykła, czuła miłość. Spoglądając w przyszłość już rozumie, że jej źródłem zawsze jest żywiona nadzieja. Teraźniejszość postrzega jako siłę rodzącą przyszłe, wzniosłe doznania, o których marzy nawet w odniesieniu do wieczności. Stara się zawsze stać przy prawdzie, choć z rozwichrzonymi myślami, i tak wyraża swoje głębokie przekonanie na jej temat: „Mówienie prawdy jest / lustrzanym odbiciem prostego spojrzenia w sedno oczu / prośbą o sekundę samotności we dwoje / wymiany myśli i codziennym obcowaniem”. Wręcz zachęca ukochaną osobę, by wspólnie stworzyć nowy „wspaniały świat”.

Poeta ten wywodzi się ze społeczności małomiasteczkowej Brzeska, przez pewien okres czasu wyjeżdżał na roboty sezonowe do Niemiec, choć większość dojrzałego życia spędza na Sądecczyźnie. W swoim życiorysie ma doświadczenia gry w zespole muzycznym Ersatz oraz działania malarsko-graficzne publikowane na łamach tarnowskiego tygodnika „Tem””. Debiutował jako poeta w antologii Klubu Literackiego „Sądecczyzna” – „Pierwsze spotkanie” w roku 1997. Jego debiut książkowy – „Ścieżki nocy” – miał miejsce w roku 2002. Tym poetą jest **Janusz Szot**, który opublikował pod koniec 2014 roku kolejny ciekawy tomik poezji pt. „Kuszenie licha”.

Warto zauważyć, że te nowe utwory Szota są już dojrzałe, co oznacza, że poeta zdecydowanie poprawił swój warsztat literacki w ciągu ostatnich lat. Jego wiersze są bardziej lakoniczne, ciekawie wersyfikowane. Ich klimat ma charakter liryczny, czasami typowo gnomiczny, gdzie komasacja minimów słownych

daje tym utworom prostą, acz wyrafinowaną formę metaforyczną. Widać i to, że jego inspiracje wynikają z zawodu co do wartości uczucia miłości, przyjaźni, ale i autor jest o tyle mądrzejszy, że nie daje się już uwodzić pozorom tych uczuć, ale i prymitywizmowi emocjonalnemu ludzi, choć ciągle marzy o obcowaniu nie tylko z prawdziwą miłością, ale pięknem otaczającego go świata. Poszukuje jego kolejnej wersji, w których na gruzach poprzednich konkretyzacji chce tworzyć nowe ich wersje. Odczuwa, że takie pozorne formy związków emocjonalnych pogłębiają samotność wszystkich stron stosunków emocjonalnych, czyli że ich świat umiera bezpowrotnie, a po nim zostają jedynie niebezpieczne ruiny. Takie związki dla poety są stresogenne, a obserwowany upływ czasu, odliczany kolejnymi obliczami ludzi cenionych i kochanych, znikających w przysłowio- wych „odmętach czasu”, budzi u niego trwogę, ale i równocześnie stosunek do świata z perspektywy „przymrużonych oczu”. Nie przypadkowo jego liryki są więc kąśliwe, ironiczne, a czasami nawet sadystyczne. W wierszu bez tytułu czytamy: „Słowa / nieokiełznana siła // nieprzerwanie tańczy / na bezmyślnych językach, // aby zawsze być / na początku / i na końcu”, a w innym – pt. „Prośba” – pisze: „Nie krzycz przed / drzwiami / bo i tak nie otworzę // nie krzycz na dusze / nie pomogą // krzycz w samotności / tak / aby nie splotyć / niewinnych / gołębi”.

Innym motywem tej twórczości jest chęć, ale i podejmowanie prób ponownego odrodzenia, by na nowo odkrywać sens życia i świata z perspektywy wieku średniego. Technika tego zabiegu artystycznego Szota polega na wplątywaniu pór miłości w odwieczny cykl odradzania się przyrody: wiosnę, lato, jesień i zimą. W wierszu pt. „Wiosna” czytamy: „Nad aleją / luna/gorących szeptów // podlewa

/ drzewa / miłości”, a w wierszu pt. „Pożegnanie lata” dodaje z przekąsem: „Nie mówcie / o mnie głośno// ślady moich / błędów zapomnijcie // resztę mojego / życiorysu / wrzucie do rzeki // niechaj inspiracja / ma zanętę”. Doświadczony życiem Gasterbeitera, by sprostać eksplozji konsumpcji, która ogrania jego bliskich, zauważa, że cena bezdomności, utrata nadziei, prowadzą człowieka do tego, że właściwie tylko w kosmosie i jego pięknie może szukać namiastki samozadowolenia, szczęścia, a w porządku doczesnym – jednak nieskutecznie. Pozostaje jedynie wewnętrzny ból związany z utratą sensów słów, obietnic, które jedynie manipulują jego sumieniem. Ów brak nadziei, bez której trudno żyć, efektywnie powoduje, że poeta wczuwa się w sytuację własnej śmierci, obserwując śmierć osób bliskich, którym towarzyszy jedynie namiastka nicości. Konkluzja, jaka z tego wynika, podpowiada mu, że świat to huśtawka, na której nieustannie i od zarania dziejów huśtają się marzenia dzieci i dorosłych.

Oswojony z tą formą egzystencji skierowuje swe kroki ku namacalnemu pięknu okolic Starego Sącza, Piwnicznej i innych okolic Beskidu Sądeckiego, które podtrzymuje go na duchu i pozwala jakoś żyć, by „smak nieprzespanej nocy”, nie „klócił się / z moralnością”. Szukając swojego miejsca w świecie, w nowym rozdaniu życia, skierowuje się ku dzieciństwu, gdzie jego życie pulsowało nadzieją. W wierszu „Moje miejsce” pisze więc: „dzieciństwo / na sankach / przed dojrzałością / uciekało // młodość / chowała się / po schroniskach / przed odpowiedzialnością // a góry / i tak pomalowały / szronem / zuchwałę myśli // rzucając / moją kotwicę / u swoich stóp”. Myślmy, że klimat poezji Szota dobrze oddaje konkluzja posłowie autorstwa Wandy Łomnickiej-Dulak, która tak oto

ocenia tę twórczość: „Kiedy zagłębiam się w zawarte w tomiku „Kuszenie licha” wiersze, to prócz odczucia obecności dużej dawki lirycznego Ja, widzę poetę Janusza filuternie uśmiechającego się, puszczającego oko z kart książki do czytelnika. On nie poetyzuje – po prostu pisze pełnokrwiste wiersze i buduje swój nowy świat na ruinach poprzednich, które odsyła do nicości”.

Wszyscy omawiani tu poeci dokonali bez wątpienia w swej twórczości nie tylko zwrotów o charakterze geograficznym, ale również biograficznym. Warto ich utwory przeczytać, by zrozumieć, że we współczesnym świecie ponowoczesnym taki los spotyka większość ludzi żyjących na naszej planecie; idzie jednak o to, by zwroty te miały sens i stwarzały możliwości dalszego twórczego życia, ale i działania dla dobra ogółu wspólnot, w których żyją.

S. Franczak, „na łące kwitną wiersze”, Wydawca: Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, projekt okładki i grafik w tekście – Barbara Pietryka, Kraków 2016, ss. 110; A. Lewandowski, „Jeszcze jestem w drodze...”, Wydawca: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, Seria Wydawnicza LIBRA Nr 76, posłowie – Andrzej Dębowski, pomysł okładki – Adrian Wartecki, autor grafik – A. Bogdan Styperek, Poznań 2016, ss. 102; J. Szot, „Kuszenie licha”, posłowie: „Tajemnica poety” – Wanda Łomnicka-Dulak, Wydawnictwo OKSYMORON, Stary Sącz 2014, s. 44. □

• Dlaczego z raju nie wygnano tylko węża? Nie dał się?

Józef Maciej Rośliński

„Pałuba” – zapomniane arcydzieło

Karol Irzykowski znany jest przede wszystkim jako krytyk literacki i filmowy. Mało kto wie, że wybór takiej drogi twórczej podyktowany został koniecznościami materialnymi; po wydaniu debiutanckiej powieści, która spotkała się z dość chłodnym przyjęciem czytelników i recenzentów, Irzykowski zmuszony był zająć bardziej intratnym zajęciem. Do fikcji literackiej wrócił po wielu latach, na krótko i z miernym rezultatem. „Pałuba” – bo taki tytuł nosi jedyna powieść Irzykowskiego, opublikowana po raz pierwszy we Lwowie w 1903 roku – zapewniła sobie trwałe miejsce w historii literatury, wciąż jednak nieobecna jest w świadomości czytelniczej. Tymczasem dzieło to, zbyt ekscentryczne dla czytelnika początku XX wieku, niedocenione przez „późnego wnuka”, do dziś zaskakuje świeżością spojrzenia i aktualnością problematyki. Na czym polega niezwykłość „Pałuby”? Gdzie tkwi sekret jej wiecznej młodości?

Powieść ta jest – jak głosi podtytuł – „studium biograficznym” Piotra Strumieńskiego. Ten zubożały szlachcic o skłonnościach artystycznych żeni się z egzaltowaną malarką, Angeliką Kauffman, z którą wiąże go namiętność i potężne uczucie o mistyczno-romantycznym rodowodzie. Przedwczesny połów i utrata dziecka wywołują jednak w Angelice rozstrój nerwowy, zakończony samobójczą śmiercią. Zrozpaczony Strumieński w samym centrum swojego

majątku ziemskiego buduje Muzeum Angeliki, w którym otacza zmarłą niemal religijnym kultem. Jednak wkrótce żeni się ponownie – z ładną, sympatyczną i niezwykle prozaiczną Olą. Przedmiotem powieści są drobne wydarzenia z ich wspólnego życia – rozmowy i spory, podróże i zdrady – a także dzieje dorastania ich syna, Pawełka. Chłopiec jednak ginie tragiczną śmiercią, zrzucony przez konia.

Historia ta nie układa się w spójną całość, wydarzenia nie zazębiają się ze sobą, przysłowiowa Czechowska strzelba z pierwszego aktu nie wypali w ostatnim. Dlaczego tak się dzieje? Otóż fabuła służy tutaj za pretekst; podstawowy budulcem „Pałuby” są nie tyle dramatyczne wydarzenia, co stany psychiczne bohaterów. Bohaterowie stają się przedmiotem bezlitosnej wiwisekcji, zgodnie z autorską deklaracją: „gdyby tę filozofię namalować symbolicznie, to chyba jako człowieka, nie nagiego jednak, lecz odartego ze skóry”. Wyniki tej wiwisekcji nawet dziś mogą wydawać się śmiałe.

Według Irzykowskiego, nasze życie psychiczne opiera się na ciągłym samoszustwie – na „szacherce” czy „kontrabandzie psychicznej”. Człowiekiem powoduje nade wszystko egoizm intelektualny; przejawia się on w tworzonej bezustannie i odgrywanej między ludźmi „komedii charakteru”. Ten egoizm, w imię dobrego samopoczucia,

musi zostać ukryty, zamaskowany, dlatego istnieje szereg mechanizmów, służących jego neutralizacji. „Pałuba”, będąca bardziej radykalnym eksperymentem poznawczym, niż fikcją literacką, stawia sobie za cel po pierwsze wykrzycie i opisanie tych fałszujących mechanizmów, pod drugie zaś – dotarcie do owej niejawnej sfery, do „garderoby duszy”, gdzie uczucia i myśli są jeszcze niewystrójone i nieucharakteryzowane.

Dla przykładu, miłość Strumieńskiego i Oli, będąca głównym przedmiotem analizy, to mieszanina „egoizmu, popędu, ambicji, potrzeby twórczości, ciekawości psychologicznej” itd. itp. Ale para bohaterów nie zdaje sobie z tego sprawy, dlatego odgrywają bezustanną komedię, „przedłużając swoje role ponad potrzebę”, i oszukują siebie samych, aby uczynić zadość swojemu wizerunkowi. Dawny admirał Oli, pisarz Gasztołd, przyjąwszy rolę wzgardzonego kochanka, postanawia popełnić samobójstwo. Jednak „instynkt samozachowawczy działa przeciwko zamiarowi” i Gasztołd, poprzez szereg celowych niedociągnięć i zaniechań, „postanawia mniemać”, iż uczynił, co mógł, i pozostaje przy życiu.

Tragikomiczna historia Gasztołda, podobnie jak dzieje nieporozumień Strumieńskich, mają swoje źródło w zaufaniu do języka, który niesie ze sobą gotowe stereotypy i role społeczne, spetryfikowane mniemania i wyobrażenia. Język, twierdzi Irzykowski, fałszuje rzeczywistość, która naprawdę jest chaosem bytów i wartości. Słowo, nazywając rzecz, przesłania ją i czyni niewidoczną; „nazwa jest grobem kwestii”. „Miłość” nie istnieje – „to słowo jest obszerną skrzynią, w której się trzyma rozmaite zwierzątko. Gdyby ono nie było takim

liczmanem, lecz za każdym razem przypominało całą treść swoją, byłoby może zakazane”. Zadaniem pisarza jest z jednej strony ośmieszenie i sprowadzenie do absurdu światobrazu narzuconego przez mowę (tzw. „następczego świata zjawisk”), z drugiej – próba zmierzenia się z fenomenem „bezimienności rzeczy”, opisanie „świata nieprzedstawionego”. Stąd oryginalna autorska terminologia, która ma zastąpić zużyte wyrazy. W terminologii tej tytułowa „Pałuba” (co dosłownie oznacza kukłę), to „inkongruencja (nieprzystawanie) obrazu w duszy, myśli, fantazji, teorii z odnośną rzeczywistością”, a więc stan, kiedy słowa odklejają się od rzeczy, rozdźwięk między rzeczywistym chaosem, a sztucznym i arbitralnym kosmosem stworzonym przez człowieka.

Egzegeci dzieła Irzykowskiego wskazywali na rozliczne analogie i powinowactwa „Pałuby”, często jednak okazywało się, że porównania te redukują jej złożoność. Rzekomy „prefreudyzm” powieści Irzykowskiego – czyli odkrycie nieświadomości, jako siedziby egoistycznych i amoralnych popędów – to pierwszy mylny trop. U Irzykowskiego niejawne procesy psychiczne mają świadomy charakter – to „chaos myśli, obradujących w kostiumie uczuć”. Odrzucał on panseksualizm freudyzmu, twierdząc, iż „mózg ma znacznie więcej części wstydlivych, niż ciało” (a w swoim dzienniku kpił: „Freud niech wytłumaczy, dlaczego kelner myli się zawsze na niekorzyść gościa”). Wskazywano też na analogie z psychologią Alfreda Adlera, w której podstawowym mechanizmem psychicznym jest żądza wyższości – dążenie do władzy, przewagi i potęgi. I tutaj jednak okazywało się, że koncepcja

Irzykowskiego nie ma tak jednostronnie redukcyjnego charakteru.

Podstawową inspirację filozoficzną stanowił w rzeczywistości empiriokrytycyzm Ernsta Macha, uznający wszelkie prawdy za metafizyczną fikcję przesłaniającą „czyste doświadczenie”. Ale i to ostatnie zdemaskowane zostaje w „Pałubie” jako sztuczny słowny twór – „ośli most”, pozwalający przejść ponad chaosem rzeczywistości. Poza tym dzieło Irzykowskiego jest eksperymentem poznawczym, który koncentruje się na indywidualnej psychologii, nie zaś na uogólniającej epistemologii. Jej utopijnym (a więc i niemożliwym) celem jest zbudowanie „cywilizacji szczerości” – to zaś wymaga odpowiednich narzędzi. Bo wiem „szczerść bez narzędzi szczerości odniesie taki sam skutek jak wyprawa krzyżowa dzieci (...) I może za jakie tysiąc lat *Paluba* wyjdzie w szkolnym wydaniu, jako próba psychologii z kamiennej epoki ludzkości”.

Powieść ta, oceniona przez współczesnych jako dziwactwo, proponuje nową koncepcję literatury – jako „gry w otwarte karty”; dlatego ironia, parodia i groteska, służące rozbijaniu schematów pojęciowych i konwencji literackich, sprzymierzają się z autotematyzmem, przez co nad opowieścią i studium psychologicznym nadbudowują się uwagi o samym procesie pisania – swojego rodzaju traktat literaturoznawczy. Z „Pałuby” bierze swój początek wielki nurt polskiej powieści groteskowej, który wyznaczają dzieła Witkacego, Gombrowicza, Schulza i wielu innych. Najlepszym jednak kontekstem dla „Pałuby” jest szeroko rozumiany modernizm – epoka rozpadu dawnego obrazu świata, który przypominał, wedle słów Eliota, „stos pokruszonych obrazów”, i nadziei na zbudowanie nowego ładu. W tym kontekście jawi się ona jako arcydzieło na skalę europejską, a sam Irzykowski włączony zostaje w pokolenie Manna, Prousta, Kafki, Joyce’a, Musiła i Virginii Woolf. □

MYŚLI JÓZEFA Macieja ROŚLICKIEGO

- *Po odrzuceniu dogmatów, czysta wiara staje się herezją.*
- *Wszystkiemu winni są Żydzi. To ich Bóg nas wszystkich stworzył.*
- *Ateistów stwarza Bóg, a przeklina Kościół.*
- *Sojusz Kościoła z każdą partią może doprowadzić do dechrystianizacji Polski.*

Od animalistycznego pojmowania świata po jego filozoficzny ogląd

Twórczość Joanny Rzodkiewicz mam okazję obserwować i opisywać od kilku dziesiątek lat. Autorka związana z „Formacją Szesnaści” w Dworku Białoprądnickim, „Grupą Każdy”, wreszcie ze Związkiem Literatów Polskich jest jedną z bardziej aktywnych osobowości na firmamencie twórczości literackiej. I chociaż zdarzyły się dłuższe przerwy edytorskie, to wynikały one bardziej z potrzeby poszukiwań nowych obszarów twórczych niż z tzw. niemocy. Joanna Rzodkiewicz łączy w sobie pasję twórcy z powinnością działacza. Nieładne to słowo, niemniej jednak oddaje sens osobowości integrującej środowiska twórcze. A takich coraz mniej – niestety. Dotychczas wydawane poetyckie tomy Joanny Rzodkiewicz dotyczyły raczej jej wędrówki z rodzinnych Mazur do środowiska wielkomięjskiego i wynikającej zeń egzystencjalnej prawdy wnikania ludzkiej obecności w świat, oraz egzemplifikacji tegoż w obszar poetyckiej kreacji i wartości. Dojrzewanie Autorki do prawd i stwierdzeń uogólnionych, rzec można uniwersalnych, trwało i trwa nadal.

Dlatego też z tym większym zachwianiem, ale też podziwem pochylałam się nad tomem „Grymasy alter ego”, w którym tyleż mikrokosmosu interioryzacji, co makrokosmosu ludzkiego trwania we wszechświecie. Autorka oczywiście stawia pytania, na które odpowiedź być może będzie jeszcze czekać wieki. Pytania te stawiać jednak trzeba, bowiem bez nich nie rozwijałyby się zarówno sztuka, jak i filozofia, która po raz pierwszy w twórczości Joanny Rzodkiewicz odgrywa rolę pierwszoplanową. Bowiem czym jak nie filozofią staje się

obraz z wiersza „Szczelina” i: jak pięknie szemrzesz wodę – usłyszała głos nieznannej istoty // kim jesteś i kim ja jestem - zapytało // jestem wierzbą, a ty źródłem // to za szczeliną jest bezkres / witaj wierzbo – powiedziało źródło.

Autorka często sięga do archetypów źródła, drzewa, chleba, wielu innych, by stworzyć imaginację czegoś, co nazwała „fikołkami wszechświata”. Ale jakże antynomiczne jest obrazowanie Joanny Rzodkiewicz. Oto w wierszu „Przebie ranka” sięga autorka do zgoła intymnych rekwizytów: „skrzydłami ptaków // zetrze dzienny makijaż // i niechący strąci z ucha // świetlisty kolczyk”.

Transcendencji takich jest wiele, jak choćby w dystychu „Malując siebie, nałożę warstwy szklistej farby // i nigdy nie skończę obrazu”.

Kolejną cechą ekspresyjności poezji Joanny Rzodkiewicz staje się przenikanie świata antropomorficznego w świat animalistyczny i na odwrót: „zacisnie w dłoni jarzębiny // kora szorstka lecz wciąż pulsuje // pierś sucha, ale ukołysz // zdążę jeszcze sobie pokochać // zanim otulę // stopy drzewa”.

Książce patronują sylwetki błaznów spoglądających z okładki. To także archetyp – nieskończona mądrość przenikająca w prześmiewczą głupotę. I właściwie gdybym zapytał Poetkę o znaczenie owych błaznów otrzymałbym kolejny wiersz. Pewnie równie zamyślony, jak wszyscy błazny światowej sztuki. Czego zatem jeszcze dokonasz Joanno? Czekamy na odpowiedź z kreatywną niecierpliwością.

Joanna Rzodkiewicz,
Grymasy alter ego, Kraków 2016

Kobiety – praw i prawd burzycielki

Wspominam z łezką w oku studenckie czasy, gdy przeznacza prof. Mieczysława Romankówna, „panienką” zwaną, zaproponowała mi temat pracy magisterskiej związany z sylwetką Narcyzy Żmichowskiej. Załamałem się nieco, bo cóż można stwierdzić o mało znanej w II połowie XX wieku pisarce kręgu literatury kobiecej wieku XIX. A cóż tu mówić o percepcji jej twórczości wśród młodzieży lat 70 wieku XX. Koleje życiowe zdecydowały jednak inaczej i na lata tzw. babska literatura XIX wieku stała mi się daleka.

Tymczasem właśnie na łamach „Forum Myśli Wolnej” Stanisław Franczak pomieścił cykl prezentujący sylwetki owych kobiet w sposób nietuzinkowy, nieszkolarski, po prostu prawdziwy. Co ważne, bez zawoalowań i pomijania tych epizodów biograficznych, których np. w podręcznikach szkolnych podaje nie wypada. A szkoda! Jakże inaczej wyglądałoby omawianie „Wesela” Wyspiańskiego, gdyby powiedziano prawdę, że kanwą narodowego dramatu była nie uczta weselna, która nota bene odbyła się w bronowickim domu weselnym, ale na drugi dzień poprawiny mające już miejsce w dworku Tetmajera. W ogóle zdejmowanie z piedestałów i przybliżanie życia wielu „poetom wielkim” przydałoby się choćby dla dobra ich uniwersalnej percepcji. I tak wspomniana Narcyza Żmichowska po moim zapoznaniu się z esejem S. Franczaka przestała mi pachnieć naftaliną. Mało, autentycznie zaczęła mnie interesować. Ot, fakt, że „Niektóre (feministki) z nich angażowały się w podziemną pomoc konspiracyjną, w której czynnie z reguły nie uczestniczyły, ale to wystarczyło, by ponieść konsekwencje. Samo podejrzenie władz carskich wystarczyło, by je izolować. I tak Narcyza Żmichowska przesiedziała w więzieniu kilka lat”. Czy dalej: „Intrygującą sprawą jest stanowisko Żmichowskiej w sprawie religii i jej „chrześcijaństwa”. Jedynym autorytetem dla niej

jest ewangeliczny Chrystus, a nie Kościół stworzony przez człowieka”; „odrzucą doktrynalny autorytet Kościołów i preferuje bezpośredni związek osobisty z Bogiem bez jakichkolwiek pośredników, *przebiegłych slug*”. Przykłady można mnożyć.

Podaję przykład jednostkowy, by polecić Czytelnikom zbiór owych esejów w postaci książki „Kobiety wyzwolone”, pomieszczonej w cyklu Biblioteki „Forum Myśli Wolnej” pod nr 8. Książka zaś zredagowana jest w iście wzorcowy sposób. Prócz wspomnianych esejów zawiera rzetelne informacje historyczne dotyczące kalendarium ruchu kobiecego w Polsce, polskiej myśli emancypacyjnej i feministycznej oraz wiele innych, składających się na wydawnictwo tyleż przyczynkowe, zobiektywizowane, co po prostu jest arcyciekawe.

Ba! Tzw. czytało. Zaiste rzetelna praca autorska i redaktorska. Poza tym Stanisław Franczak – znany poeta, także prozaik, objawił się jako historyk-dokumentalista o niepoślednim warsztacie, także o jasno sprecyzowanym światopoglądzie. Właśnie to sprawia, iż książka „Kobiety wyzwolone z przełomu XIX i XX wieku” nie jest miłą i beznamietną. Nie pozostawia czytelnika obojętnym wobec sylwetek i procesów, które bądź co bądź budowały zręby kolejnych Rzeczypospolitych. Aż po obecną, w której już ukuto dowcip, jak to w szkołach wprowadza się nowy przedmiot WOS. Interlokutor stwierdza, że przecież tak przedmiot prowadzony jest od lat. Dostrzegamy się, że chodzi o Wiedzę o Smoleńsku. I być może – obym się nie mylił – dzięki takim publikacjom, jak Franczaka, choć trochę zmniejszymy pokłady ponurej głupoty i nienawiści. Resztę dopowiedz Czytelniku sam.

Stanisław Franczak
„Kobiety wyzwolone z przełomu
XIX i XX wieku”, Kraków 2016

Sukcesy Października 56 roku

W październiku 1956 roku nastąpiły oczekiwane wielkie przemiany. Przede wszystkim odnotować trzeba zmiany osobowe w kierownictwie partii. Pierwszym sekretarzem wybrany został **Władysław Gomułka**, a w konsekwencji tych zmian powstały nowe warunki praktycznie w całym życiu społeczno-gospodarczym Państwa.

Oto najważniejsze z nich wymienione w kolejności ich powstawania:

- 1) Likwidacja spółdzielni produkcyjnych na wsi, w wyniku czego ich liczba zmniejszyła się z 10.2 tys. w roku 1956 do niespełna 2 tys. na początku następnego roku.
- 2) Powstanie w fabrykach całego kraju rad robotniczych, co przyczyniło się do złagodzenia napięcia między władzą i robotnikami.
- 3) Zwiększenie budownictwa mieszkaniowego prawie o 100 procent. O ile w latach 1950–1955 budowano w Polsce 67 tys. mieszkań rocznie, o tyle w latach 1956–1960 już 124 tys. w roku.
- 4) Uzyskanie większej suwerenności państwa i poprawy demokracji sprawowania władzy – w praktyce dążenie do „socjalizmu z ludzką twarzą” w wersji zbliżonej do jugosłowiańskiej.
- 5) Próby udzielenia pomocy Demokratycznej Republice Węgier w jej walce o niezależność państwową.

* * *

1. Z okazji 60 Rocznicy Polskiego Października Stowarzyszenie „Kuźnica” zorganizowało spotkanie w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa. Zorganizowało spotkanie i prowadził prezes „Kuźnicy” doc. dr **Andrzej Kurz**. Referaty programowe na temat Października 56 roku w Krakowie przedstawili prof. **Magdalena Mikołajczyk** i prof. **Andrzej Romanowski**. Wspomnienia o Październiku 56 wygłosili prof. Marek Waldenberg, prof. Marian Stępień i Adam Ogorzałek. Ponadto Jerzy Huczkowski i rektor AWF Andrzej Klimek przedstawiają swoje wspomnienia na kolejnym spotkaniu, podobnie jak Zbigniew Jakus i Jacek Wawrykiewicz, którzy byli nieobecni z uwagi na zły stan zdrowia.

* * *

2. W październiku 1956 roku zostałem delegowany do Tarnowa, gdzie przez pół roku wydawałem „Przegląd Tarnowski” (tygodnik), w którym zamieszczaliśmy najważniejsze informacje dotyczące zachodzących przemian.

Jan Nowak,
Honorowy Prezes Rady Wojewódzkiej
Towarzystwa Kultury Świeckiej

W dniu 8 listopada 2016 wysłuchaliśmy w Kuźnicy odczytu p. Magdaleny Wulczyńskiej, doktorantki p. prof. Andrzeja Romanowskiego (Wydział Polonistyki UJ), pt. *Polski Wolter Boy według Ludwika Szczepańskiego*

Ze starannie i wyczerpująco napisanej, interesującej i z dużą kulturą słowa odczytanej rozprawki dowiedzieliśmy się o wielu mniej znanych okolicznościach działalności naszego Patrona, Tadeusza Boya Żeleńskiego, ujętych z perspektywy jego stronnika Ludwika Szczepańskiego, krakowskiego literata (poety) i dziennikarza, który był założycielem i pierwszym redaktorem krakowskiego „Życia”. Liczne swoje artykuły, recenzje i omówienia L. Szczepański zamieszczał też na łamach „Dziennika Krakowskiego”, „Gazety Lwowskiej”, „Przeglądu Tygodniowego”. W latach 1903-1913 wydawał „Nowiny dla Wszystkich”; od 1914 do 1916 pracował w redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. W 1918

redagował „Dziennik Polski”, w 1919 był członkiem redakcji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Prelegentka pokazała nam, jak ów prawnik z wykształcenia bronił Boya będącego z kolei lekarzem z wykształcenia i praktyki przed zarzutami, wręcz napaściami środowisk konserwatywnych – głównie Krakowa i Warszawy – związanymi z jego pracą na rzecz świadomego macierzyństwa, a w szczególności na rzecz opieki nad małymi dziećmi (czego przykładem akcja „kropla mleka”) i ich nieszczęsnymi matkami, nader często skazanymi na „piekło kobiet”, które znajdują się w niezwykle trudnej sytuacji życiowej (bieda, bezdomność, brak opieki lekarskiej).

/red./



Magdalena Wulczyńska z prof. Krzysztofem Woźniakowskim i podczas dyskusji.
Fot. Antoni Pietryka

SESJA

Dnia 12 grudnia 2016 roku odbyła się w Kuźnicy – jak co roku – sesja naukowa. Tym razem poświęciliśmy ją pamięci prof. Tadeusza Kotarbińskiego. W szczególności rozważane były kwestie autorytetu moralnego Profesora, jego filozofii praktycznej oraz jego obecności w życiu publicznym oraz roli w przemianach społecznych (politycznych nie wyłączając), dokonujących się w okresie powojennym.

Sesję otworzył i prowadził – po przywitaniu Szanownych Uczestników – dr Józef Kabaj, były pracownik naukowo-dydaktyczny UJ i WSP, nauczyciel szkół średnich, który też był pierwszym prelegentem. W swoim wystąpieniu (*Tadeusz Kotarbiński jako autorytet moralny*), nacechowanym licznymi akcentami osobistymi, takimi jak np. poczucie formacyjnego wpływu Profesora, dr Kabaj położył nacisk na istotne w jego mniemaniu źródła tego autorytetu. Byłyby nimi zarówno klasyczna grecko-rzymska formacja samego Profesora, której był wierny od czasów gimnazjalnych, jego studia

matematyczne i politechniczne, zapewniające z jednej strony zdolność obracania się w sferze abstrakcji, jak i – z drugiej strony – twardego stąpania po ziemi, a wreszcie jego osobiste dokonania na terenie logiki, teorii sprawnego działania (prakseologii), jak wreszcie etyki (jako teorii moralności niezależnej od światopoglądowych dogmatów).

Drugi głos należał do p. dr Małgorzaty Jakubiak z UW. Jej wystąpienie nosiło tytuł *Tadeusza Kotarbińskiego filozofia życia codziennego*. Zwróciła ona najpierw uwagę na antyfilozoficzną orientację lwowskiej szkoły analitycznej, której adeptem, a następnie mistrzem był Profesor, ukierunkowanej na ścisłość. Drugi etap ewolucji podejścia Kotarbińskiego to faza rozumienia filozofii jako uogólnienia wyników nauk przyrodniczych i ścisłych. Trzecim natomiast jest stadium, w którym Profesor uprawiał już równoległe filozofię praktyczną (prakseologię), zwaną niekiedy filozofią życia codziennego, oraz etykę niezależną.



Dr Józef Kabaj mówi o autorytecie moralnym prof. Tadeusza Kotarbińskiego.
Fot. Antoni Pietryka



Wystąpienie dr Małgorzaty Jakubiak z UW.
Fot. Antoni Pietryka

Tej ostatniej i bodaj najbardziej oryginalnej oraz doniosłej dziedzinie aktywności naukowej i wychowawczej prof. Kotarbińskiego poświęcił swoje refleksje prof. Jerzy J. Wiatr. W swoim wystąpieniu, zatytułowanym *Z rozważań nad etyką niezależną Tadeusza Kotarbińskiego*, prelegent – zresztą słuchacz Kotarbińskiego – skoncentrował się na pojęciu-idei-wartości moralnej *opiekun spolegliwy*. Wbrew błędnemu nieraz tłumaczeniu ignorantów nie chodzi tu bynajmniej o uległość, lecz o odpowiedzialność za los osoby powierzonej opiece lub wymagającej – nieraz dramatycznie – opieki.

W dyskusji rozwijającej wątki poddane przez referentów pod rozwagę poruszono m. in. kwestię ścisłości filozofii (która jest – lub może być – ścisła, a która nie), ponieważ stanowisko w tej sprawie zwykle rzutuje na uznanie, albo odrzucenie,

miarodajności etyki jako nauki o moralności. Chodzi rzecz jasna o etykę opisową, a nie o tę normatywną, która ma być wiążąca wraz z akceptacją stanowiska religijnego.

Pod koniec dyskusji zabrał głos dr Zdzisław Słowik, który położył nacisk na dwa źródła powagi moralnej Profesora i jego autorytetu w ogóle. Były to: zacięcie wychowawcze oraz zrozumiałość jego przekazu; przy – rzecz jasna – jego nieskazitelnej sylwetce moralnej oraz niepodważalnej pozycji naukowej. Dr Słowik wyraził w związku z tym ubolewanie, że w dzisiejszym systemie edukacji i wychowania władze oświatowe – ministerialne i kuratorskie – nie uwzględniają tej po-



Wystąpienie prof. Jerzego J. Wiatra.
Fot. Antoni Pietryka

staci oraz wartości głoszonych i praktykowanych przez prof. Kotarbińskiego, będącego przecież autorytetem światowej rangi.

/red./

Gazeta Wyborcza z 16 listopada 2016 r.

W artykule Jarosława Kurskiego pt. „PRL-Bis, PRL-PiS” czytamy:

W PRL rzeczywistą władzę sprawował I sekretarz PZPR. Dziś sprawuje ją prezes PiS na Nowogrodzkiej – w opisanym przez prof. Stanisława Ehrlicha „pozakonstytucyjnym ośrodku dyspozycji politycznej”. W tym celu w ciągu zaledwie roku naruszono trójpodział władzy; zniszczono Trybunał Konstytucyjny; przeprowadzono kadrową wymianę i upartyjnienie państwa. Jak w PRL podporządkowano prokuraturę rządowi i zawładnięto mediami publicznymi. „Dyktaturę proletariatu” zastąpiono figurą „suwerena, a „rewolucję klasową” zastąpiła „rewolucja narodowa”. „Nadbudowa”, tj. prowadzona w duchu neoendeckim państwowa polityka kulturalna, historyczna i edukacyjna, służy utrwalaniu heroicznej tylko wizji patriotyzmu. Towarzyszy temu walka ze społeczeństwem otwartym i organizacjami pozarządowymi.

PRL-PiS to upaństwowienie doktryny katolickiej m.in. w sprawie aborcji, to lekceważenie praw mniejszości. To wreszcie upaństwowienie mitologii „zamachu smoleńskiego” i oficjalny kult prezydenta Lecha Kaczyńskiego. A skoro był „zamech”, to zapewne będą - jak w PRL - procesy pokazowe (...). I tak jak w PRL nie liczy się fachowość, ale partyjna rekomendacja. Ostatni rok to triumf „Misiewiczów” w najbardziej pazernym wydaniu, ze znaną w PRL „karuzelą stanowisk”.

I jak w PRL-u uruchamiają się serwilizm, oportunizm i mimikra. Nietrafnie zaadresowany program „Rodzina 500 plus”, przywileje branżowe, ochrona nierentownych kopalń, cofnięcie reformy emerytalnej przy spadku inwestycji i spowolnieniu wzrostu PKB muszą oznaczać albo podniesienie podatków i danin publicznych, albo – znowu jak w PRL – życie na kredyt, zrujnowanie finansów państwa i scenariusz Gierka. Rządy Edwarda Gierka (o którym Kaczyński tak dobrze się wyraża), podobnie jak obecne rządy PiS, cieszyły się poparciem społecznym, dopóki było z czego finansować program równości w biedzie. Pogardliwy stosunek PiS do UE, zwłaszcza do jej demokratycznych wartości, przyniósł samoizolację i utratę pozycji Polski we Wspólnocie Europejskiej. Nie możemy też liczyć na upokorzone przez rząd RP Niemcy i Francję ani na Wielką Brytanię zajętą sobą po Brexicie. Nasz sojusz z USA po zwycięstwie Donalda Trumpa to wielki znak zapytania. Tak oto polska dyplomacja „wstała z kolan”. Czeką nas dalsza PRL-izacja Polski: atak na niezawisłość sędziowską, Rzecznika Praw Obywatelskich i NIK, samorządy oraz prawa obywateli, których nie będzie miał już kto bronić. W ciągu jednego roku „dobrej zmiany” Kaczyński z pomocą prezydenta Dudy i premier Szydło zniszczyli budowane przez dziesięciolecia instytucje polskiej demokracji. Bezwstydnie pogwałcono konstytucję. Stały się rzeczy, które nie śniły się filozofom. To najgorszy rok dla Polski od 27 lat.

wybrał Mieczysław Jakubiec

Co tam, panie tego, w Sejmie?

gazeta.pl:

Ateiści, prawosławni i muzułmanie powinni podpisywać specjalne zobowiązania do przestrzegania wartości uznanych w Polsce za ważne – uważa posłanka PiS, Beata Mateusiak-Pielucha. Niespełnianie tych wymogów miałyby być „jednoznacznym powodem do deportacji”.

W serwisie wPolityce.pl pojawił się felieton posłanki PiS Beaty Mateusiak-Pieluchy. Posłanka w nawiązaniu do filmu „Wołyń” pisze o relacjach polsko-ukraińskich i zadaje pytania „niewygodne z punktu widzenia politycznej poprawności”, co ma być dowodem na „odwagę myślenia”.

„Kim są ci ludzie z Ukrainy, których w Polsce pracuje już ponad milion? Potomkami morderców? A jeśli tak, to czy uważają ludobójstwo, jakiego dopuścili się ich krewni na Polakach, za zło, które ich dzisiaj boli? A może są tymi, którzy za zarobione u nas pieniądze fundują na Ukrainie pomniki Bandery?”

Posłanka podkreśla, że politycy powinni pomagać potrzebującym sąsiadom, ale po określeniu zasad tej pomocy. Także swoim obowiązkiem – jako katoliczki – Mateusiak-Pielucha określa pomaganie potrzebującemu, niezależnie od jego wyznania. Tu jednak również stawia warunki: „Równocześnie jednak, jeżeli chcą mieszkać w Polsce i pracować obok mnie, mam prawo spytać ich o poglądy, przekonania i nastawienie do wartości, które w Polsce uznajemy za ważne”.

Dalej polityk wysuwa jeszcze odważniejsze wnioski:

„Mam prawo oczekiwać od rządu i rządzącej partii polityki otwartych oczu i rozwiązywania rzeczywistych problemów. (...) Wolni w swoim myśleniu i działaniu powinniśmy żądać od mieszkańców i pracujących w Polsce cudzoziemców legalizowania pobytu i stworzyć

skuteczniejszy mechanizm bezwzględnego egzekwowania tego obowiązku przez państwowe służby. Ale także powinniśmy wymagać od ateistów, prawosławnych czy muzułmanów oświadczeń, że znają i zobowiązują się w pełni respektować polską Konstytucję i wartości uznawane w Polsce za ważne. Niespełnianie tych wymogów powinno być jednoznacznym powodem do deportacji”.



Jak z kolei zauważa portal oko.press, który jako pierwszy napisał o felietonie posłanki, pomysł Mateusiak-Pieluchy jest niezgodny z Konstytucją, w której obrobie przecież występuje. Obywatela polskiego nie można bowiem wydrzeć z kraju (art. 52), a władza nie może żądać od obywatela ujawnienia swojego światopoglądu czy wyznania (art. 53).

Reakcje:

szary petent: Twarz PiS-u, warto zapamiętać.

valdi: Ale głupota i ciemnota ogarnia nasz kraj.

nilpferd13: Ponieważ to ja oraz moja rodzina, moi przyjaciele, znajomi, sąsiedzi ... jesteśmy pani Mateusiak-Pieluchy PRACODAWCAMI, zwalnimy panią z roboty! W trybie dyscyplinarnym! Gdyby pani przed zatrudnieniem u nas (czyli w polskim Sejmie) przeczytała polską Konstytucję, nie obrażałaby pani Polaków! Strach się bać!

sylwester51: Czarna zgraja zbrojców i katole ślepo popierający watykańskiego okupanta to największe zło. Teraz – tępa wyznawczyni zbrojców – proszę o deportację; może biedna Grecja albo Portugalia. Byle dalej od takich katolskich pustaków.

radek4500: Niedługo powiedzą, że niekatolików trzeba leczyć, edukować, ostatecznie izolować lub zrzucić ze skały!

Jerzy Gogół: Niedługo opaski na przedramieniu „Polak gorszego sortu”. Faszizm w Polsce jest karalny i co na to prokuratura?

wawiak57: Pani Pielucha herbu Podpaska światłą kobietą jest, powinna zaproponować utylizację starych kawalerów i starych panien. Kaczyński i Pawłowicz w pierwszej kolejności.

patriota 21 wieku: „ze znają i zobowiązują się w pełni respektować polską Konstytucję (...) Niespełnienie tych wymogów powinno być jednoznacznym powodem do deportacji ...” Czyli wg niej powinno się deportować cały PiS!

normalny_pan: A jak szanowna pani myśląca inaczej chciałaby deportować Polaka ateistę? Skąd w tych pisowskich globusach bierze się tyle głupoty? Oni w 99% zachowują się jak upośledzeni. Czy ktoś może mi to wytłumaczyć?

kwiatpatologii: A dla Polaków ateistów proponuję utworzenie Przyklasztornych Ośrodków Reewangelizacyjnych. Wartowników dostarczą WOT i minister wojny.

zbigstar_1944: Ateiści jak Żydzi za Adolfa. W początkowym okresie tylko wyjeżdżali przymuszeni. Co było dalej – wiemy.

art._102: (...) Posłanko Pielucha. Polska Konstytucja gwarantuje wolność wyznaniową i nie masz prawa o nic pytać człowieka pracującego obok; ale on ciebie może przepytać ze znajomości Konstytucji kraju, który reprezentujesz w Sejmie, gdzie głosujesz na ustawy. Pokazując taką ignorancję nadajesz się tylko do zwolnienia. Nie życzę sobie, żeby moja kasa zasilała konto takiego ignoranta. (...) Dla przypomnienia Pani Beacie. (...) Art. 52: Każdemu zapewnia się wolność poruszania się po terytorium Rzeczypospolitej oraz wyboru miejsca zamieszkania i pobytu. Art. 53: Każdemu zapewnia się wolność sumienia i religii. Wolność religii obejmuje wolność wyznawania lub przyjmowania religii według własnego wyboru oraz uzewnętrzniania indywidualnie lub

z innymi, publicznie lub prywatnie, swojej religii przez uprawianie kultu, modlitwę, uczestniczenie w obrzędach, praktykowanie i nauczania. Wolność religii obejmuje także posiadanie świątyń i innych miejsc kultu w zależności od potrzeb ludzi wierzących oraz prawo osób do korzystania z pomocy religijnej tam, gdzie się znajdują. Rodzice mają prawo do zapewnienia dzieciom wychowania i nauczania religijnego zgodnie ze swoimi przekonaniem. Przepis art. 48 ust. 1 stosuje się odpowiednio. Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób. Wolność uzewnętrzniania religii może być ograniczona jedynie w drodze ustawy i tylko wtedy, gdy jest to konieczne do ochrony bezpieczeństwa Państwa, porządku publicznego, zdrowia, moralności lub wolności i praw innych osób. Nikt nie może być zmuszany do uczestniczenia ani do nieuczestniczenia w praktykach religijnych. Nikt nie może być obowiązany przez organy władzy publicznej do ujawnienia swojego światopoglądu, przekonań religijnych lub wyznania. Każdy może swobodnie opuścić terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Wolności, o których mowa w ust. 1 i 2, mogą podlegać ograniczeniom określonym w ustawie. Obywatela polskiego nie można wydrzeć z kraju ani zakazać mu powrotu do kraju. osoba, której pochodzenie polskie zostało stwierdzone zgodnie z ustawą, może osiedlić się na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej na stałe. (...)

/wybrał i opracował S. Franczak/

sprawa emerytur – gazeta.pl

~Polska Walcząca: podczas stanu wojennego byłem w wojsku (odrabiałem 2 letnią służbę); tzn. że mi też zabiorą emeryturę?

~Polak: Czy sędziom, którzy dzisiaj wydają wyroki nie podobające się Kaczyńskiemu, też będą odbierane emerytury, kiedy na nią odejdą a PiS będzie dalej przy władzy? Aktualnemu prezesowi TK też? Proponuję, aby odebrać także wszystkim, którzy wspierają KOD. A co, a dlaczego nie, a przecież nie będziemy się rozdrabniać! Zaoszczędzone pieniądze, a będzie tego dużo, można przecież spożytkować lepiej dając je na dzieła Rydzyka; co w połączeniu z tymi pieniędzmi, które dzisiaj dostaje od rządu, pozwoli na jeszcze świętsze działania tego świętego męża!

~brukowka: Ale ta ustawa nie obejmuje ubeka, który pomagał kościołowi wyłudzać mienie państwowe, za niby jakieś tam straty. Przegoniliśmy nazistę, przegoniliśmy komunistę, przegonimy i kaczystę.

~WESLEY: Taaa. Może zabrać emerytury wszystkim, którzy chodzili do jakiegokolwiek pracy za komuny – bo tym samym umacniali wraży system. A zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć dla meneli, co wtedy nie pracowali :-)

~Martusia: Prezes Kaczyński pisał pracę magisterską w systemie komunistycznym o zaletach gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną – odebrać mu prawa posła i obniżyć emeryturę!

~amaryk: A co z księżmi? Księża byli tą grupą zawodową, która jako jedyna w Polsce mogła praktycznie bez przeszkód wyjeżdżać na Zachód. Nie oszukujmy się – księża ze względu na swoją wiedzę zdobytą choćby w efekcie spowiedzi, która była profesjonalnym wywiadem, byli najcenniejszymi informatorami służb. To księżom zawdzięczamy długie lata stalinizmu i PRL.

~Kóma: A ja unieważniłabym wszystkie świadectwa maturalne oraz dyplomy ukończenia uczelni wyższych wszystkim tym, którzy uzyskali je do 1989 roku.

Jednocześnie uznając, że ich posiadacze nie mają rzeczonego wykształcenia. Zaiste byłoby to prawe i sprawiedliwe!

dorobek naukowy Prezesa – za: polityka.pl

Jarosław Kaczyński studia ukończył w 1971 r. W książce „O dwóch takich... Alfabet braci Kaczyńskich” przyznaje, że dzięki protekcji męża przyjaciółki mamy (posła ZSL i wiceministra oświaty) został asystentem w resortowym Instytucie Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego. Wspomina, że przyjęto go tam źle i namawiano, by wstąpił choćby do ZSL. (...)

Egzaminy doktorskie zdał z teorii państwa i prawa oraz filozofii marksistowskiej (oba na „bardzo dobrze”), a 8 grudnia 1976 r. obronił pracę doktorską „Rola ciał kolegialnych w kierowaniu szkołą wyższą”.

Cytaty.

„Państwo polskie odrodzone w roku 1918 było państwem burżuazyjnym”.

Premier Kaczyński pytany przez „Fakt” o pracę doktorską brata, okraszona odwołaniami do klasyków marksizmu-leninizmu, odpowiedział, że „w latach 70. w Polsce w każdej praktycznie pracy doktorskiej z dziedziny prawa gdzieś tam Marks czy Lenin był wspominany”. Ale okazuje się, że tych klasyków nie ma w pracy doktorskiej Jarosława. Jest za to sporo odwołań do wypowiedzi przywódców i ideologów PRL: Gomułki, Bieruły, Cyrankiewicza, Kliszki, Sokorskiego, Werblana, Kąkola oraz do referatów na partyjne zjazdy i plena KC. Te konieczności, rodzaj obliga, wynikającego z wymogów warsztatu naukowego, dobrze zrozumie rówieśnik premiera, ale może już mieć z tym problem młody poseł PiS czy LPR.

Nauka z prawdziwego zdarzenia

Pharyngula (blog) – za serwisem racjonalista.pl



Paul Zachary Myers

Pharyngula – blog w sieci ScienceBlogs prowadzony przez P. Z. Myersa. W 2006 czasopismo Nature uznało go za jeden z pięciu najlepszych blogów pisanych przez naukowców. W 2005 przyznano mu Nagrodę Koufax w kategorii Best Expert Blog. Tematyka blogu jest różnorodna, obejmuje nauki ścisłe i zagadnienia nienaukowe. Popularność i uznanie zyskał dzięki sarkastycznemu stylowi Myersa i ostrej krytyce inteligentnego projektu oraz kreacjonizmu. Blog promuje poglądy ateistyczne i liberalne.

Według Alexy strona Pharyngula.org została uruchomiona 19 czerwca 2002. Początkiem strony był projekt, w którym w ramach ćwiczeń z pisania prac uczniowie Myersa mieli przedstawić minieseje, potem publikowane w Internecie. Po jego zakończeniu Myers zaczął osobiście korzystać z oprogramowania do tworzenia stron i założył blog. Nazwał go od nazwy swojego ulubionego etapu rozwojowego – pharynguli[4]. Od 2005 blog Myersa znajduje się na serwerach ScienceBlogs.

Tematyka.

W 2007 Myers opublikował recenzję książki Stuarta Pivara Lifecode, w której zawarta była teza, że samodzielna organizacja na zarodkowym i płodowym etapie rozwoju określa ostateczną budowę organizmów.

Myers skrytykował książkę, twierdząc, że ilustracje i pomysły w niej zawarte powstały w wyobraźni Pivara i nie mają oparcia w faktach. Po dyskusji w dziale komentarzy blogu, Pivar pozwał Myersa o zniesławienie, jednak w ciągu tygodnia wycofał pozew uznając, że winnym jest Seed Media Group.

W czerwcu 2008 Myers skomentował doniesienia prasowe na temat studenta University of Central Florida, który usiłował wynieść z kościoła konsekrowaną hostię i pokazać ciekawemu chrześcijańskiej wiary koledze w jego domu. Po tym jak student zaczął otrzymywać groźby śmierci, Myers opublikował pierwszy wpis na ten temat na swoim blogu. Wkrótce sam również zaczął otrzymywać obraźliwe maile i pogróżki.

Szczególnie chętnie Myers krytykuje kreacjonizm, ideę inteligentnego projektu i instytucje promujące pseudonaukę, takie jak Discovery Institute czy Answers in Genesis. W lutym i marcu 2007 skupił się na neurochirurгу Michaelu Egnorze, który właśnie dołączył do Discovery Institute. Poza krytyką poglądów Egnora Myers wytknął fakt, że Discovery Institute polega na wiedzy osoby niemającej nic wspólnego z ewolucjonizmem.

Na początku kwietnia 2007 Myers brał udział w przygotowaniu żartu primaaprilisowego zaaranżowanego przez twórców bloga The Panda's Thumb, w ramach którego powstała fałszywa strona Discovery Institute, na której znalazło się „oświadczenie Michaela Egnora”, że wiadomość o jego zatrudnieniu przez Instytut była w istocie primaaprilisowym żartem. Następnego dnia Myers wyjaśnił żart i jednocześnie opisał trudności, na jakie napotyka się ktoś próbujący sparodiować i tak już absurdalny sposób myślenia kreacjonistów. Tezę tę poparł cytatem ze Stephena Meyera.

Stałym elementem bloga są wpisy poświęcone głowonogom, grupie organizmów, którą Myers uważa za szczególnie interesującą.

Pigmeje i karły.

W czerwcu 2005 Myers wyśmiał komiks Jima Pinkoskiego, który odczytując dosłownie werset z Biblii „A w owych czasach byli na ziemi giganci” (Rdz 6:4) stwierdził, że dawniejsi ludzie byli wyżsi niż współcześnie. Pinkoski oszacował wzrost Adama na

15 stóp (4,6 m) i Noego na 12 stóp (3,7 m). Myers skupił się szczególnie na krótkiej uwadze towarzyszącej rysunkowi: „Uwaga: Jeśli myślisz że to niemożliwe, to czemu mamy PIGMEJÓW + KARŁY?? [sic!]” („NOTE: If you doubt this is possible, how is it there are PYGMIES + DWARFS??”).

Autor bloga uznał uwagę o pigmejach i karłach za niezamierzenie komiczny wniosek non sequitur. Wysztytował ją w kilku trawestacjach, konsekwentnie stosując wykorzystane przez Pinkoskiego pogrubienie i znaki zapytania:

„Zastanawiałeś się kiedyś, jak do cholery mogło się stać, że taki idiota jak George W. Bush został wybrany? Jeśli myślisz, że to niemożliwe, to czemu mamy PIGMEJÓW + KARŁY??”

„Jak ludzie mogą być tak naiwni, by wierzyć w nonsensy sprzedawane przez Discovery Institute? Jeśli myślisz, że to niemożliwe, to czemu mamy PIGMEJÓW + KARŁY??”

Odpowiedź dworzanina

Po wydaniu Boga urojonego Myers wyśmiał krytyków Dawkinsa, zarzucających mu nieznamość subtelnych niuansów teologii. Nawiązując do Nowych szat króla, włożył „krytykę” w usta wymyślanego dworzanina-lizusa:

Bezczelność i tupet zarzutów niejako Dawkinsa nie dziwią, gdy uświadomimy sobie jego brak odpowiedniego wykształcenia. Pan Dawkins nie zna na pewno uczonej i szczegółowej dysertacji hrabiego Roderiga z Sewilli, poświęconej niespotykanej cudowności egzotycznych skór, z jakich szyte są buty Jego Cesarskiej Mości. Wszystko wskazuje też, że obce jest mu arcydzieło Belliniego O poświęcie, jaką roztaczają pióra królewskiego kapelusza. My tymczasem doczekaliśmy się już powstania całych szkół, które nieustannie publikują uczone traktaty o przewspaniałości szat Jego Wysokości, a w każdej poważnej gazecie jest nawet specjalna rubryka poświęcona cesarskim kreacjom. Dawkins jednak ten wielki filozoficzny dorobek ośmiela się zignorować po to tylko, by z arogancją i okrucieństwem zarazem stwierdzić: „Cesarz jest nagi!”. Póki pan Dawkins nie przeszkoli się w salonach mody Paryża i Mediolanu, dopóki nie zrozumie, na czym polega różnica między riuszkami

a frywolitkami, pozostaje tylko przyjąć, że wszystko co napisał, nie stanowi w istocie najmniejszej obrazy dla cesarskiego gustu. Biologiczne wykształcenie, jakie odebrał pan Dawkins, może i sprawia, że potrafi on odróżnić genitalia, gdy ktoś wymachuje nimi przed nosem, ale to o wiele za mało, by potrafił należycie docenić jakość wymyślanych tkanin.

Dawkins sam zacytował „Odpowiedź dworzanina” (ang. Courtier's reply) w debacie z Alisterem McGrathem, jako autora podając „wspaniałego P. Z. Myersa”. Przywołał ją także w przedmowie do wydania Boga urojonego w miękkiej okładce z 2007.

Prawo Blake'a.

W odpowiedzi krytykom nazywającym Myersa, Dawkinsa i innych o zbliżonych poglądach „fundamentalistycznymi ateistami”, Myers napisał:

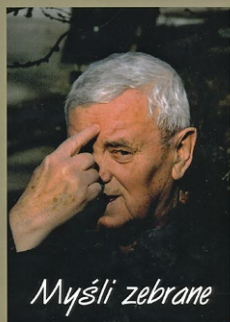
„Nowy ateizm” (nie lubię tego wyrażenia) przyjmuje podstawowy zestaw zasad, które okazały się silne i przydatne w świecie naukowym – prawdopodobnie zauważyliście, że większość z tych zarozumiałych ateistów ma zaplecze naukowe – i podkreśla, że mogą one znaleźć zastosowanie także do każdej innej działalności ludzi. Te zasady to ufność w naturalne przyczyny i domaganie się wyjaśnień przy użyciu rzeczywistych pojęć, z udokumentowaniem łańcucha dowodów, które każdy może zbadać. Cnotami są krytyczne myślenie, elastyczność, otwartość, weryfikacja i dowód. Grzechami są dogmaty, wiara, tradycja, objawienie, zabobon i nadprzyrodzone. Nie ma pisma świętego, a główną ideą jest, że wszystko musi być otwarte na racjonalizm, oparty na dowodach krytycyzm – to przeciwieństwo fundamentalizmu.

Ostatecznie Myers podsumował swoje stanowisko powołując się na „prawo Blake'a”, zawdzięczające nazwę autorowi bloga, częstego komentatora wpisów w Pharynguli, Blake'a Stacey. Stacey sformułował swoje prawo w 2007 w oparciu o prawo Godwina (*argumentum ad Hitlerum*). Brzmi ono następująco:

Podczas dyskusji na temat ateizmu (sceptycyzmu itp.), prawdopodobieństwo, że ktoś porówna ateistę do religijnego fundamentalisty wzrasta do jednego.

/skopiował JK/

Józef Maciej Rośliński



Na półkach księgarskich pojawiła się książka znanego dziennikarza i publicysty Józefa Macieja Roślińskiego pt. *Myśli zebrane*. Są to aforyzmy i przysłowia zebrane przez autora, przekute na myśli, pogrupowane w sześciu rozdziałach, które prowokują do refleksji i własnych przemyśleń.

Wyrafinowany dowcip, a nade wszystko myślicielski dystans jako obserwatora i uczestnika rzeczywistości realnej stanowią zasadniczą wartość tych myśli. Ponadto ważną rolę odgrywa w nich trafna pointa. Kilka z nich drukujemy w rozproszeniu po niniejszym numerze kwartalnika.

sf

LISTY DO REDAKCJI

W dniach 7-9.09.2016 roku uczestniczyłem wraz z grupą dziennikarzy mediów lokalnych, zorganizowanych w Światowym Forum Mediów Polonijnych, w XX Ogólnopolskim Sejmiku Samorządów i Mediów lokalnych w Dobrzeńcu Wielkim.

Obecność dziennikarzy mediów lokalnych – polskich – w tym wydarzeniu jest realizacją misji, która określiliśmy powołując do życia organizację jaką jest ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJSKICH.

Wtedy to, na początku urodzin III RP, za swój cel główny przyjęliśmy propagowanie idei: demokracja, samorządność i budowa społeczeństwa obywatelskiego. One są bowiem filarami budowy nowej Polski w nowoczesnym, europejskim państwie. W różny sposób obserwując te procesy ukazywaliśmy tę Polskę poprzez działania Polaków, szczególnie na najniższym szczeblu organizacji życia społecznego jakim jest wieś, osiedle i gmina. Poprzez media polonijne ukazywaliśmy

możliwości zaangażowania się Polaków w różne formy życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego. Budowania nowej, wspólnej Polski, Ojczyzny dla tych mieszkających w kraju jak i poza granicami. Są tego liczne przykłady. Tym sposobem współuczestniczyliśmy w tworzeniu nowej rzeczywistości, tworzonej przez ludzi dla ludzi. Temu dziełu miało służyć przyjazne państwo. Niestety tak się nie dzieje czego dowodem są liczne przykłady działań władz w okresie 25-lecia. Klasycznym tego przykładem są działania władz państwowych wobec mieszkańców gmin ościennych wokół Opola. Załączone materiały dokumentują to, a w podjętej DEKLARACJI PROGRAMOWEJ wyrażam nasze stanowisko.

Józef Maciej Rośliński,
Pełnomocnik Światowego Forum
Mediów Polonijnych,
Dobrzeń Wielki, 9.09.2016



■ Jeśli chce się być szczęśliwym, nie wolno gmerać w pamięci.

Emil Cioran

■ Myślenie nie jest łatwe, ale można się do niego przyzwyczaić.

Kubuś Puchatek

■ Jestem starszym człowiekiem. Ale nie starym! Dlaczego? Bo jeszcze się uczę.

Jan Socha

■ Szczęście to po prostu dobre zdrowie i zła pamięć.

Ernest Hemingway

■ Nie zawsze mów, co wiesz, ale zawsze wiedz, co mówisz.

Klaudiusz

■ Z biegiem lat życia świat złośliwieje. Człowiekowi coraz trudniej utrzymać to i owo, a rzeczy wypadające mu z rąk odlatują w najodleglejsze zakamarki.

prawie_bezrobotny

■ Kobiety nie zmienisz; możesz zmienić kobietę, ale to niczego nie zmieni.

Andrzej Poniedziałki

■ Każdego człowieka trzeba poznać trzy razy: osobno, w towarzystwie i kiedy jest pijany.

temyśli.pl

■ Jak się nie ma co się lubi, to się nie lubi tych co mają.

besty.pl

■ Życie to taka impreza, z której nikt nie wychodzi żywy.

lolmania.pl

wybrał (w większości pożyczając od *stylowych*) J. Kabaj



Projekt okładki: Stefan Berdak

Kompozycja stron: Artur Kozioł; Fotografie: Antoni Pietryka

Grafiki: Roman Lasa



STEFAN BERDAK "Brrr, brrr... jak zimno", akryl, płótno,